

*Sandra  
Phillipson*

*Pamiętna  
noc*

Promienie gorącego, czerwcowego słońca zaplątały się w kasztanowych włosach Lindy Parker, gdy schyliła się, by poluzować sznurowadła pionierek. Loki koloru miedzi wokół jej szczupłej twarzy wyglądały niczym płomienny wieniec. Linda niecierpliwym ruchem odrzuciła włosy z czoła i mruknęła ze złością:

— Wszystko przez Cecylię i tę jej cholerną dbałość o kondycję!

Po czym usiadła na skraju ścieżki i wyciągnęła przed siebie nogi przyodziane w obcisłe dżinsy. Marszcząc czoło, obejrzała bolące stopy i zaśmiała się z gorzką autoironią.

To doprawdy śmieszne! Tak często przecież w zaciszu swego pokoju marzyła o kontakcie z naturą, chłodnym poranku, świeżym, górskim powietrzu. Ale wówczas siedziała sobie wygodnie, z podwiniętymi nogami, w ulubionym fotelu i snuła różnorodne wizje. Piekące pęcherze na piętach były zaś okrutną rzeczywistością.

Z głębokiego lasu, do którego wiodła ścieżka, dobiegały krzyki ptaków, pomieszane z brzęczeniem niezliczonej liczby owadów. Linda pomyślała tęsknie o znajomym wielkomiejskim zgiełku Nowego Jorku — z szumem ulicznym, dźwiękiem syreny policyjnych samochodów, hałasem śmieciarek. Tu, w dzikich Appalachach, każdy dźwięk wydawał się obcy, a nawet groźny. Jakby się było w ciemnym labiryncie dżungli amazońskiej, a nie wśród łagodnych, zalesionych pagórków otaczających Hudson — zaledwie trzydzieści mil od Times Square.

Nawet powietrze pachniało jakoś dziwnie. Pozbawione smrodu spalin i dymu, niepokojąco drażniło węch. Linda odetchnęła głęboko, dziwiąc się ciężkim, słodkim woniom, jakie uderzały jej do nosa. Nagle spostrzegła przed sobą krzaki pełne dojrzałych jeżyn.

Odrzuciła głowę, obserwując kilku maruderów ze swojej grupy, którzy znikali właśnie za zakrętem.

— Niech sobie idą — pomyślała. — Potem ich dogonię.

Byli to sami doświadczeni turyści i sądzili, że ich nowa towarzyszka również się do takich zalicza.

Linda przedarła się ostrożnie przez zarośla, dzielące ją od kuszących jagód. Zapomniała nawet o obtartych piętach i swojej złości na Cecylię.

Cecylia Jones, jej współlokatorka, już od miesiąca cieszyła się na tę wycieczkę, ale w ostatniej chwili okazało się, że nie będzie mogła wziąć w niej udziału. Namówiła więc przyjaciółkę, aby wybrała się zamiast niej. Linda z początku była oczarowana, ale już po godzinie marszu zaczęła żałować zbyt pochopnie podjętej decyzji.

Grupa składała się z członków „Klubu Miłośników Przyrody” do którego należała również Cecylia. Było ich wszystkiego siedem osób, razem z oficjalnym przewodnikiem. Nazywał się Richard Torbett i od razu wydał się Lindzie postacią dość komiczną. Biedny pan Torbett, pomyślała z rozbawieniem. Taki nadgorliwy, traktuje widać swoje hobby ze śmiertelną powagą. Z tą zwisającą u szyi wielką lornetką, w grubych, zasznurowanych prawie do kolan trzewikach wyglądał okropnie śmiesznie. A okrągłe okulary, łysa czaszka i nos wygięty jak dziób upodobały go do jakiegoś dziwnego ptaka.

Reszta grupy, z wyjątkiem jednego mężczyzny, była zdaniem Lindy równie mało godna uwagi. Choćby te trzy baby — zaniedbane i bez wyrazu, zupełnie jakby wyprawa na pustkowie zobowiązywała do szczególnego niechlujstwa.

Sama Linda włożyła na tę okazję modnie uszyte dżinsy, bawełnianą, podkreślającą talię bluzkę i mięciutki moherowy sweter, który zawiązała niedbale wokół ramion. Jedyne jej ustępstwo na rzecz tego, co praktyczne, stanowiły pionierki, pożyczone, podobnie jak grube, wełniane skarpety, od Cecylii.

Z trzech obecnych tu panów dwaj byli braćmi i obaj maszerowali z głowami zadartymi do góry, obserwując ptaki. Oczywiście bez przerwy się przy tym potykali. Trzeci, zwany przez pozostałych Peterem, sprawiał całkiem niezłe wrażenie. Znoszona koszula z czerwonej flaneli, podarte i połatane sztruksowe spodnie wcale nie ujmowały mu atrakcyjności.

Poza tym wyglądał na człowieka wykształconego, przynajmniej zdaniem Lindy. Na początku wyprawy wszyscy spotkali się na moście Bear Mountain i od tej pory nikt nie odezwał się już ani słowem. Każdy oddawał się słuchaniu głosów natury i rozmowy były najwyraźniej zabronione. Odpowiadało to Lindzie, bo nie miała najmniejszej chęci na pogawędkę z kimś z grupy, a wkrótce ból, który sprawiały jej niewygodne buty, zajął ją bez reszty.

Mężczyzna o imieniu Peter, szatyn o gęstych włosach i niezwykle szarych oczach, od pierwszej chwili patrzył na Lindę trochę szyderczo. No cóż, nie mógł przecież wiedzieć, że nie jest wcale wytrawnym piechurzem, lecz młodą, ambitną projektantką poważnej firmy reklamowej przy Madison Avenue.

Wkładając do ust pierwszą soczystą jeżynę, Linda pomyślała, że musi się pospieszyć, jeśli ma zamiar dogonić grupę. Z pewnością poszukają niebawem miejsca na obozowisko, bo zrobiło się już późno. Słońce, które w ciągu całego popołudnia zaledwie parę razy odważyło się wyjrzeć zza chmur, teraz zaczynało się całkiem wycofywać. Zanosilo się na burzę.

Linda popatrzyła na ciemniejące niebo i znów zabrała się do przepysznych owoców. Żałowała, że nie ma pod ręką plastikowej torebki, by je pozbiierać i zachować na potem.

Plecak, zdawało się, ważył coraz więcej. Dziewczyna poruszyła ramionami, próbując lepiej rozłożyć ciężar. Plecak także należał do Cecylii; był w nim koc, bielizna na zmianę, kilka tabliczek czekolady, niezbędne kosmetyki i latarka. Kolację wliczono w cenę wycieczki. Z pewnością miała się składać z takich obrzydliwości, jak wędzonka, suszone owoce i jajka w proszku. Linda skrzywiła się na samą myśl i zapragnęła znaleźć się z powrotem w domu, tam, gdzie było jej miejsce.

Gdy stwierdziła, że jej wypielegnowane palce są już całe niebieskie od soku, zdecydowała, że najwyższy czas odszukać resztę grupy. Przyklękła na moment w miękkiej trawie, by wytrzeć ręce.

I wtedy usłyszała ten dziwny szmer! Było to głuche grzechotanie, które sprawiło, że zimne ciarki strachu przebiegły jej po plecach. W pierwszym odruchu chciała rzucić się do ucieczki, opanowała się jednak. Jeśli jakiś wąż grzechotnik szykował się właśnie do ataku, bieg na oślep mógł narazić ją na jeszcze większe niebezpieczeństwo. Myśl była tak straszna, że pod Lindą ugięły się kolana. Zataczając się, dała nura w gęste zarośla, byle dalej od krzaków jeżyn. Uciekając, nie zauważyła ukrytego pod paprocią kamienia i runęła jak długa na ziemię.

Podniosła się natychmiast, mimo że klujący ból przeszył jej stopę. Chyba zwichnęłam sobie kostkę, pomyślała.

Powoli dowlokła się do ścieżki, gdzie poczuła się znacznie bezpieczniej. Usiadła i zacisnęła zęby, kiedy zdejmowała but. Bolało piekielnie, chociaż kostka nie była opuchnięta. Linda zaczęła ją rozcierać.

Zerwał się silny wiatr, robiło się coraz ciemniej.

Lindę ogarnął strach. Bała się samotności, nadciągającej burzy i węża, który czaił się gdzieś w gęstwinie. Siedziała tak bezradnie na starej Indiańskiej Ścieżce, ona, dziecko wielkiego miasta, i czuła, że zaraz się rozbeczy.

Nieczęsto zdarzało się jej płakać. Była na to zbyt dumna, zbyt pewna siebie i teraz też postanowiła wziąć się w garść. Musiała, nie zważając na ból nogi, iść dalej. Zdecydowanym ruchem włożyła z powrotem but i ruszyła naprzód. Na każdym zakręcie wypatrywała czerwonej koszuli Petera.

Cienie kładły się coraz niżej i szary zmierzch pochylał się nad lasem. Serce Lindy bilo głucho i ogarniało ją coraz większe zwątpienie.

Bogata wyobraźnia, tak przydatna w pracy projektantki, teraz płatała jej złośliwe figle. Za każdym pnem drzewa czyhał jakiś potwór, w paprociach pełzały węże, a niewinne ćwierkanie ptaków zamieniało się w pełne trwogi ostrzegawcze sygnały. Czyjeś niesamowite oczy obserwowały drogę, a upiorne postacie czekały tylko, aż zapadnie ciemność.

Linda zaczęła biec tak szybko, jak pozwalała na to boląca noga. Myśli dziewczyny skoncentrowały się chwilowo na Cecylii, której zawdzięczała cały ten koszmar.

— No, już ona usłyszysz ode mnie parę słów — postanowiła solennie. — Jeśli tylko uda mi się cało i zdrowo wrócić do Nowego Jorku. Ale ze mnie też niezła idiotka! Jak mogłam dać sobie wmówić, że marsz przez Appalachee może być cudownym przeżyciem!

Tak narzekając, dotarła do miejsca, w którym ścieżka przechodziła w skalistą drogę, opadającą stromo z jednej strony, z drugiej zaś otoczoną łagodnym, zalesionym wzniesieniem.

Spadły pierwsze krople deszczu. Linda patrzyła ze strachem na grube pnie drzew. Tam mogłaby się schronić przed wiatrem i wilgocią, nie miała jednak ochoty znaleźć się nagle wśród niedźwiedzi, węży i innej leśnej zwierzyny.

Ptaki i owady przerwały swój śpiew, zamiast tego dało się słyszeć odgłosy burzy. Krople potu zaperliły się na czole nieszczęsnej turystki. Wkrótce zapadnie noc.

Trzask łamanej gałęzi sprawił, że Linda wzdrygnęła się z przerażenia. Obróciła się w kółko, a jej serce na moment przestało pracować. Potężny cień biegł przez zarośla prosto na nią! Wtedy z ust Lindy wydarł się przeraźliwy krzyk i dziewczyna, tracąc przytomność, osunęła się na ziemię.

Powrót do rzeczywistości następował powoli i opornie. Linda z wysiłkiem otworzyła oczy i spróbowała się podnieść.

- Żyjemy? — usłyszała beznamiętny męski głos i znów ogarnęła ją panika.

- Co... gdzie... — wymamrotała, widząc niewyraźną postać w czerwonej koszuli. — Gdzie ja jestem?

- W prowizorycznej kryjówce na najbardziej bezpiecznej ścieżce w Appalachach — odparł głos. — Czy często zdarza się pani mdleć? Najwyraźniej nie jest pani przyzwyczajona do górskich wędrówek.

W słowach tych czuło się irytację pomieszaną z drwiną.

- Naturalnie, że nie! — zawołała Linda. — To znaczy, chciałam powiedzieć, że nigdy dotąd nie mdlałam.

- A więc proszę zaznaczyć sobie ten dzień w kalendarzu. Pierwszy raz w życiu słyszałem tak przeraźliwy krzyk, a potem upadła pani bez czucia jak gumowa lalka.

- Usłyszałam tuż za sobą dziwny szelest, a kiedy się obejrzałam, zobaczyłam, jak z ciemności sunie coś prosto w moim kierunku. Pomyślałam, że to niedźwiedź albo może lew. Czułam niemal, jak zanurza kły w mojej szyi. To było okropne! A jak pan mnie znalazł?

- Obawiam się, że to ja byłem tym strasznym zwierzem — powiedział i zaśmiał się, pokazując białe zęby. — Po raz pierwszy ktoś porównał mnie do lwa i muszę stwierdzić, że nawet mi się to podoba.

- Co, u diabła, robił pan w krzakach? — rozłościła się Linda. — Chciał mnie pan przestraszyć na śmierć?

- Skądże znowu. Po prostu szukałem pani. Dwie mile stąd rozbiliśmy obóz i czekaliśmy, ale nikt nie nadchodził. Wróciłem więc, żeby sprawdzić, gdzie się pani podziewa.

Ton jego głosu nie pozostawiał żadnej wątpliwości, że ta akcja ratunkowa była wyjątkowo przykrym i uciążliwym obowiązkiem. Facet w czerwonej koszuli z pewnością

wolałyby siedzieć teraz przy ognisku, dyskutować o rzadkich okazach ptaków i żuć suche herbatniki.

- No i co? — odezwał się znów. — Nie otrzymam wyjaśnień? Pani przecież zlekceważyła wszystkie reguły obowiązujące w naszym klubie.

- Czyżby? Nie zasłużyłam na pańskie wyrzuty, bo nic nie wiem o żadnych regułach. Myślałam, że to będzie wycieczka, a nie test na wytrzymałość.

Usiadła i zaczęła rozglądać się za swym bagażem.

- Czego pani szuka? — spytał łagodnie Peter.

- Mojego plecaka. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać, możemy już ruszać dalej.

Znowu się roześmiała.

- Czy pani jest głucha? Nie słyszy pani, jak leje?

- Odrobina deszczu nikomu jeszcze nie zaszkodziła. Nie zostaniemy chyba tutaj.

- A dlaczego nie?

Linda zawahała się. Nie mogła przecież powiedzieć, że obawia się zostać sam na sam z Peterem w maleńkim namiocie. Woląла też nie przyznawać się, że nigdy jeszcze nie spędzała nocy w lesie. Mruknęła więc zmieszana:

- Bo nie chcę.

- Nie chce pani? — powtórzył Peter drwiąco. — A więc szerokiej drogi.

Przesunął się, by zrobić Lindzie miejsce. Ich nogi zetknęły się na chwilę i dziewczyna poczuła nagły dreszcz. Zupełnie nie wiedziała, jak wytłumaczyć sobie tę osobliwą reakcję.

Schyliła się i wyjrzała z namiotu. Niebo było czarne, a wierzchołki drzew kołysały się pod naporem ulewy. Zimne strugi wody rozbryzgiwały się na wietrze.

Linda cofnęła się. Wydało jej się, że cała przyroda wokół ich kruchego namiotu toczy jakąś zaciętą walkę.

- Rzeczywiście, okropna burza.

- Trochę deszczu jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Czy nie twierdziła pani tak przed chwilą?

Zbyła aluzję milczeniem.

- Która godzina? — zainteresowała się po chwili.

- Chyba dość długo leżałam nieprzytomna.

- Jakieś dwadzieścia minut.

Peter spojrział na fosforyzujące cyferki zegarka.

- Teraz jest wpół do ósmej.

Wzrok Lindy spoczął na szczupłej, ale wyraźnie silnej ręce mężczyzny. Nagle zapragnęła jej dotknąć, szybko więc skierowała swą uwagę na coś innego.

- Niemożliwe, żeby było już tak późno! Przecież ja tylko na krótko zatrzymałam się przy tych jeżynach.

- Przy jeżynach? Chyba nie zeszła pani ze szlaku? - spytał surowo Peter.

- Tak... Chciałam zerwać trochę jagód... Zabrzmiało to jak idiotyczne usprawiedliwienie i Linda zawstydzila się tak okropnie, jakby popełniła wielki grzech.

- Rany boskie! — jęknął jej wybawca. — Pani głupota, jak widzę, nie zna granic. W górach trzeba iść razem z grupą i nie wolno oddalać się od szlaku. Prawdziwy cud, że pani nie zabłądziła.

- A więc dobrze! — zawołała Linda ze złością. — Popełniłam błąd. Przykro mi i na pewno więcej się to nie powtórzy!

- Mam nadzieję. Proszę tylko na siebie spojrzeć. Pani strój nie jest odpowiedni na górską wyprawę. Prędej na wieczór w dyskotecę.

Mówiąc to, patrzył z politowaniem na jej obcisłe dżinsy i elegancką bluzkę.

- Zauważyłam już — odparła gniewnie dziewczyna — że wszystko we mnie pana drażni i pozwolę sobie dodać, iż odwzajemniam pańską niechęć. Ale, niestety, jesteśmy uwięzieni

tu, w samym środku szalejącej burzy, a w lesie są dzikie zwierzęta, które mogą nas zaatakować. Dlatego zamiast się kłócić powinniśmy zacząć zachowywać się rozsądnie.

Linda bała się okropnie, ale robiła wszystko, by siedzący obok mężczyzna tego nie zauważył. W żadnym razie nie chciała się przed nim skompromitować.

- Zostaniemy tutaj na noc, a rano, gdy burza ustanie, dołączymy do grupy.

- Mamy tu spędzić całą noc? Ale... Lindzie zabrakło tchu.

- Żadne ale! Nie wierzy pani, że potrafię ją obronić przed potworami, które tak malowniczo pani opisuje? A może się pani obawia ataku z mojej strony i sądzi, że w tym właśnie celu zawlokłem panią do swego namiotu?

Linda spojrzała na niego ponuro. Ale Peter zignorował to i mówił dalej!

- Proszę się uspokoić, nie mam podobnych zamiarów. Ten namiot jest schronieniem przed burzą, a nie miłosnym gniazdkiem. Zresztą z tak mizerną wiedzą o naturze byłaby pani prawdopodobnie marną kochanką.

Linda wiedziała, że zanim teraz coś powie, powinna policzyć powoli do dziesięciu. Jak większość

rudych i zielonookich kobiet, obdarzona była gwałtownym temperamentem, nauczyła się jednak

nad nim panować. Ale w tej chwili nie była zdolna do żadnej samokontroli.

- Pan — wrzasnęła z wściekłością — jest najbardziej aroganckim i obrzydliwym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkałam! Nic dziwnego, że włóczy się pan po lasach. Pan nie pasuje do cywilizowanego świata, pańskie miejsce jest w dżungli, wśród dzikich zwierząt!

Peter odrzucił głowę i zanosił się od śmiechu, tak bardzo ubawiła go ta kanonada wyzwisk.

- Co? Pan w dodatku widzi w tym coś wesołego? — krzyknęła Linda. — Słowo daję, wolę już spędzić noc na deszczu, niż pozostać choćby minutę dłużej w pańskim towarzystwie!

Zerwała się, zapominając o swojej zwichniętej kostce. Gdy poczuła przeszywający ból, cała krew odpłynęła jej z twarzy. Jęcząc upadła na ziemię i odwróciła głowę, żeby mężczyzna nie zobaczył jej łez.

- Pani jest ranna — stwierdził Peter, nagle bardzo zatroskany. — W którym miejscu?

Zbliżył się, objął dziewczynę ramieniem i uniósł jej głowę.

- Ależ pani płacze! Gdzie boli?

Linda poczuła oszołomienie, wywołane nadmiarem emocji. Strach przed burzą i ciemnością nocy, ból świdrujący kostkę i jeszcze ten mężczyzna, którego obecność działała dziwnie uspokajająco i podniecała zarazem. Teraz Linda rozplakała się naprawdę.

- Uciekałam przed wężem i zwichnęłam sobie nogę — wyjaśniła szlochając.

- Proszę pozwolić mi zobaczyć.

Peter rozwiązał delikatnie sznurowadła. Kiedy ściągnął skarpetę z jej obolałej nogi, gwizdnął przeciągle.

- O Boże, ależ ma pani pęcherze na pięcie. Pionierki są chyba źle dopasowane.

Obejrzał dokładnie buty.

- Sporo w nich już pani chodziła, nie powinny obcierać.

- One nie są moje — wyznała Linda rumieniąc się.

- Co? Nie chce pani chyba powiedzieć, że wybrała się na dwudziestomilową wycieczkę w pożyczonych butach! W to już nie uwierzę.

- Ale tak było.

- Proszę posłuchać — odrzekł stanowczo Peter. — Mamy kilka kocy i trochę jedzenia. Zaraz rozbiję obóz i rozpalę ognisko. W nocy bywa tu zimno, nawet w czerwcu. A ogień — dodał z lekkim uśmiechem — odstraszy dzikie zwierzęta. Nie ma więc się czego bać. Urządzimy się możliwie wygodnie, a potem opowie mi pani, jak trafiła do naszej grupy.

Linda kiwnęła głową. Wiedziała, że nie ma wyboru musi podporządkować się poleceniom. Mężczyzna podał jej chusteczkę.

- Proszę wytrzeć łzy, a ja w tym czasie przygotuję spanie.

Linda przyglądała się, jak Peter stawia na ziemi latarkę i szykuje posłanie z trawy, na której rozpostarł koce. Gdy skończył, wyjął z plecaka drugą latarkę i mały toporek. Dziewczyna domyśliła się, jaki jest następny punkt programu.

- Chce pan iść do lasu?!

W jej głosie brzmiała zgroza.

- Muszę nazbierać drzewa na ognisko. Sądzę, że znajdę wystarczająco dużo suchych gałęzi, tak, żeby przez całą noc było nam ciepło.

- Długo pana nie będzie? — spytała Linda cicho. Jeszcze parę minut temu życzyła sobie, by facet poszedł do diabła, a teraz za nic nie chciała zostać sama.

Zachowuję się jak wariatka — pomyślała. — Wszystko przez ten idiotyczny zbieg wypadków.

- Zaraz wrócę — uspokoił ją Peter. — Proszę zatrzymać latarkę i postarać się odpocząć. Pomogę pani wstać.

Bez wysiłku podniósł dziewczynę i położył ją na kocach.

- Dzięki — szepnęła, moszcząc się w miękkim gniazdku, które dla niej przygotowano. Zrozumiała, że ten silny mężczyzna ma nad nią przewagę.

Peter zapiął guziki kurtki, postawił kołnierz i wyjrzał na zewnątrz.

- Wszystko w porządku. Proszę za mną za bardzo nie tęsknić.

Linda skryła uśmiech i patrzyła, jak Peter wysuwa się z namiotu.

- Niech pan zaczeka! — zawołała.

Odrzucił się i spojrzał na nią kąpiąco. W świetle latarki widać było jego twarz i Lindzie znów przyszło do głowy, że jest on na swój naturalny nieco szorstki sposób bardzo atrakcyjnym mężczyzną.

Poczuła, jak serce zabiło jej mocniej i powiedziała cicho:

- Nawet nie wiem, jak się pan nazywa.

- Peter. A pani? Podał tylko imię.

- Linda. Linda Parker

- O.K., Lindo. Uśmiechnął się.

- Pozostanie tu pani, póki nie wrócę, tak?

Nie odpowiedziała, lecz na jej ustach pojawił się marzycielski uśmiech. Zauważyła, że Peter go dostrzegł i speszona opuściła wzrok.

Gdy mężczyzna odszedł, Linda spróbowała posłuchać dobrej rady i trochę się odprężyć. Nie było to łatwe. Świadomość własnej słabości i niecodziennej sytuacji, w jakiej się znalazła, nie dawała dziewczynie spokoju. Miała nadzieję, że Peter zaraz wróci. Jeśli nawet był zarozumiałym kpiarzem, to stanowił jedyną ochronę przed tajemniczym i groźnym otoczeniem.

## 2

Po chwili Linda postanowiła zatroszczyć się o swój zaniedbany nieco wygląd. Wyjęła z plecaka puder, lusterko, pomadkę do ust i szczotkę. Przeżycia mijającego dnia pozostawiły swój ślad. Linda tak długo szczotkowała włosy, aż znów zaczęły błyszczeć. Trochę pudru i odrobina szminki sprawiły, że poczuła się pewniej.

Była dumna ze swego wyglądu, choć rozumiała teraz, że mądrzej byłoby ubrać się mniej elegancko, ale za to cieplej.

- Następnym razem zrobię wszystko lepiej — powiedziała głośno. I zaraz roześmiała się. Przecież nie będzie żadnego następnego razu. Ten jeden "wystarczał jej na zawsze. Nie zamierza już opuszczać miasta, w którym zna każdy kąt. Ale bardzo chciałaby w poniedziałkowy ranek, podczas największego ruchu, zobaczyć Petera stojącego na Manhattanie. W zatłoczonym tunelu metra czułby się tak samo bezradnie jak ona na pustkowiu! Jego szare oczy z pewnością nie błyszczałyby tak szyderczo i arogancko.

Linda zdawała sobie sprawę, że chce tymi myślami odpędzić strach przed ciemną nocą czającą się na zewnątrz namiotu. Miała zamiar, gdy Peter wróci, być chłodna i opanowana, jak przystało na Lindę Parker. Występowanie w roli kłębka nerwów uznała za niegodne siebie.

Kim był właściwie mężczyzna, który przedstawił się jako Peter? Pewnie jednym z tutejszych mieszkańców, żyjących w szałasach, z kupą gnoju przed drzwiami i gotujących jedzenie w kotle zawieszonym nad ogniem. Wyobraziła sobie, jak Peter żelazną warząchwą miesza zupę i zachichotała rozbawiona. Fantazja podsunęła jej jeszcze obraz zwariowanego ogrodnika, który je tylko to, co sam zasadził, ciągle robi przetwory i marynaty, a w restauracji nie potrafi odróżnić karczochów od pasztetu z gęsich wątróbek. Peter mógł sobie być ekspertem w sprawach maszerowania i wdrapywania się na góry, ale prawdopodobnie zemdlałby ze strachu, gdyby musiał wjechać windą na dziewięćdziesiąte piętro biurowca! Zarabia na pewno dobrze sprzedając swoje płody rolne, a w długie, zimowe wieczory — wyobrażała sobie dalej — siedzi i struga zabawki z drewna.

Wszystkie te myśli przywróciły jej w pełni poczucie własnej wartości i gdy pojawił się obładowany chrustem Peter, Linda spojrzała na niego spokojnie i nieco wyniośle. Bądź co bądź była mieszkanką Nowego Jorku, a on tylko prostym chłopem.

- Wszystko w porządku? — zapytał, układając drzewo przed namiotem.  
- W jak najlepszym — odparła chłodno.  
- Miło mi to słyszeć — stwierdził z roztargnieniem. — Za chwilę rozpalę ognisko. Pani pewnie nie umie gotować?  
- Gotować? Ależ oczywiście.

Linda pomyślała o wytwornych francuskich daniach, które przyrządzała dla swych przyjaciół. Jej kunszt kulinarny był dobrze znany.

- Tu nie ma jednak niczego, co dałoby się ugotować. Chyba że lubi pan roztopioną czekoladę.

W tym momencie poczuła, że jest okropnie głodna.

- Ja trochę lepiej przygotowałem się do tej wyprawy.

Peter zapalił stos drewna i zaczął grzebać w swoim plecaku. Z triumfującą miną wyjął ziemniaki, cebulę i marchew, a następnie parę kawałków jakiegoś prawie czarnego świństwa, wyglądającego, zdaniem Lindy, jak skóra na buty.

- Pfui! A cóż to takiego?  
- Suszona wołowina. Zaraz zamienię ją w smakowitą duszoną pieczeń. Albo możemy zjeść na surowo, jeśli jest pani bardzo głodna.  
- Nie! — zaprotestowała Linda. — W jaki sposób chce pan przygotować pieczeń? Nie mamy ani pieca, ani patelni, ani nawet wody.

Peter znów sięgnął do plecaka i wyciągnął z niego lekki aluminiowy garnek, łyżkę i widelec. Od paska odpiął nóż i podał dziewczynie.

— Może pani pokroić warzywa, a ja w tym czasie zajmę się mięsem.

Okazało się, że ma ze sobą także butelkę wody. Linda obserwowała z podziwem, jak Peter nacina toporkiem trzy grube jodłowe gałęzie tak, by mogły służyć jako stojak. Potem nalał wody do garnka i ustawił go na prowizorycznej kuchence. Kiedy skończył, Linda wciąż jeszcze patrzyła na niego z osłupieniem.

- No i co? Nie umie pani posługiwać się nożem?

- Nie mamy pewnie obieraka do ziemniaków? - spytała zmieszana. Mężczyzna zaśmiał się.

- Wcale go nie potrzebujemy. Witaminy znajdują się w skórce, zjemy więc ją razem z warzywami. Proszę obrać tylko cebulę i pokroić wszystko na małe kawałki. Włożymy je do garnka z mięsem. Mniej więcej za godzinę kolacja będzie gotowa. A na deser mamy pani czekoladę.

- O.K. — odparła posłusznie Linda i zabrała się do pracy.

Krojenie bez deseczki okazało się dość uciążliwe, ale dziewczyna postanowiła udowodnić, że nawet w tej dżungli, dalekiej od cywilizowanego świata, nie jest osobą całkowicie bezradną.

Gdy potrawa dusiła się już na ogniu, Peter przysiadł się do Lindy. Jego bliskość była podniecająca i Lindę ogarnęła niepewność, co też jej przyniesie nadchodząca noc.

Wnętrze namiotu, oświetlone lekko płomieniem ogniska, kontrastowało z panującą wokół ciemnością. Dziewczyna przyglądała się ukradkiem widzianej z profilu twarzy Petera. Ostro zarysowany nos, silna linia podbródka, wysokie czoło i czujne oczy — wszystko to było piękne i bardzo męskie. Linda rozżościła się nagle na samą siebie, że siedzi tak i z oddaniem wpatruje się w nieznanego faceta, zamiast wziąć się nieco w garść. Szybko spuściła wzrok.

Peter najwyraźniej nie należał do ludzi ceniących towarzyską konwersację. Był — stwierdziła raz jeszcze — jednym z tych silnych i milczących mężczyzn, którzy układają swoje życie w zgodzie z naturą. Westchnęła cicho, bo przypomniawszy sobie wieczory spędzane na błyskotliwych, dowcipnych rozmowach z wykształconymi przyjaciółmi z Nowego Jorku.

Peter usłyszał jej westchnienie i spojrzał pytająco.

- Zmęczona?

- Nie, zamyśliłam się tylko.

- Ten dzień tył dla pani rzeczywiście trudny. Proszę mi opowiedzieć, jak trafiła pani do nas. Na pewno nie należy pani do klubu.

- Nietrudno zgadnąć — odrzekła Linda.

- Oczywiście, że nie. Koleżanka, z którą mieszkam, musiała pójść dzisiaj na ważną uroczystość rodzinną i poprosiła, abym wybrała się zamiast niej, jako że wycieczka była już opłacona. Ponieważ z moich planów na ten weekend nic nie wyszło, zgodziłam się. Myślałam, że będzie całkiem przyjemnie.

- Całkiem przyjemnie! — powtórzył drwiąco.

- No, można to i tak nazwać, chociaż większość z nas traktuje turystykę raczej poważnie. Wie pani, że Indiańska Ścieżka wiodąca przez Appalachee ma dwa tysiące mil długości i rozciąga się od Maine aż do Georgii? Jest własnością publiczną, chociaż prowadzi przez teren prywatny. Istnieje umowa, że co najmniej ćwierć mili gruntu po obu stronach ścieżki ma pozostać w stanie naturalnym, tak że wędruje się tu rzeczywiście przez dziewiczą puszcę. Proszę sobie wyobrazić — może pani przejść na piechotę od Maine do Georgii, przez Góry Białe. To nie do uwierzenia!

Linda z zaskoczeniem słuchała owych pełnych zachwyty słów, myśląc w duchu, że Peter wygłosił chyba najdłuższą mowę swego życia. To, o czym opowiadał, brzmiało nawet interesująco i dziewczyna zawstydyła się trochę z powodu swojej ignorancji.

- Czy przeszedł pan całe dwa tysiące mil? — spytała uprzejmie.

- Nie, tylko kilka odcinków. Ale pewnego dnia znajdę na to czas. Zamierzam wystartować z Maine na początku maja i w październiku dotrzeć do Georgii.

- Na Boga! To przecież pół roku. Peter spojrział na nią pogardliwie.

- Nie każdy potrafi coś takiego zrozumieć. Dla mnie byłoby to spełnieniem jednego z marzeń. A jak wyglądają pani marzenia — jeśli oczywiście ma pani jakieś?

- Naturalnie, że mam, nawet wiele.

Linda zawahała się. Nie chciała mówić o rzeczach tak intymnych z obcym człowiekiem, pomyślała sobie jednak, że trzeba jakoś przetrwać tę noc. Nie byłoby mądrze jeszcze bardziej zrazić do siebie Petera, skoro zdana jest tylko na niego.

- We wszystkim, co robię, staram się być najlepsza — powiedziała otwarcie. — Życzyłabym sobie, aby moja praca została doceniona. Marzę, że zdobędę sławę i uznanie!

Szare oczy patrzyły uważnie, a w świetle ognia dało się w nich zauważyć błysk rozbawienia.

- Co to za praca, która budzi w pani takie ambicje?

- Mam zdolności artystyczne, jestem projektantką — odparła Linda z dumą. — Pracuję w reklamie.

- Aha, w reklamie.

W jego głosie brzmiała ironia i jakby triumf, że oto znów odkrył u Lindy jakąś poważną wadę.

- Przypuszczam, że przemysł reklamowy wywołuje w panu jedynie pogardę - zdenerwowała się dziewczyna. — Ale to jedna z dziedzin, które ożywiają naszą gospodarkę. Jestem dumna z tego, co robię. Nie każdy może żyć w lesie jak pustelnik. Jego oczy zrobiły się okrągłe ze zdziwienia.

- Uważa pani, że ja tak żyję?

- Owszem, niewykluczone, że nawet gdzieś tutaj. Pewnie rąbie pan i struga drewno.

Roześmiał się.

- Jest pani bliska prawdy. Rzeczywiście mam posiadłość położoną niezbyt daleko stąd — w Columbii. To stara wiejska chata.

- No, proszę! — Linda wzruszyła ramionami. — Myślałam, że szałas.

Peter znów wybuchnął śmiechem.

- Teraz proszę mi opowiedzieć coś o sobie. Wychowała się pani w tych stronach?

Dziewczyna zwlekła z odpowiedzią. Nigdy co prawda nie wstydyła się swego pochodzenia, ale podczas dwuletniego pobytu w Nowym Jorku zauważyła, że ludzie uśmiechają się, gdy słyszą, skąd przybyła. Zawsze przy tym określają jej rodzinne strony jako „malownicze i pełne uroku”. Odparła jednak szczerze:

- Jestem z Ohio.

- Piękna okolica — stwierdził Peter z uznaniem.

- Tak, ale potwornie nudna. Zawsze marzyłam, by zamieszkać w Nowym Jorku.

- Więc woli pani Nowy Jork?

- Ależ tak! Nigdy nie tęsknię za Ohio, no, może czasem, w okresie wakacji. Myślę wtedy o swojej rodzinie, jak wszyscy siedzą wokół stołu... Lato w moich stronach było długie, a niedaleko domu mieliśmy mały staw. Chodziliśmy tam się kąpać.

- W takim razie nie jest pani typowym dzieckiem miasta, Lindo.

- Jestem! Kocham Nowy Jork! Kocham w nim wszystko. Nie chciałabym mieszkać gdzie indziej.

- No to ma pani szczęście, bo Madison Avenue uważa pani za pępek świata dla fachowców od reklamy. W jakiej firmie pani pracuje?

- Addison i Gilbert. Zaangażowali mnie zaraz po szkole. Niedługo będę miała własne biuro.

- Własne biuro? — Uśmiechnął się szyderczo. Linda spojrzała na niego ponuro.

- Może pan się śmiać! Jasne, że człowiek żyjący na wsi nie jest w stanie pojąć czyichś ambicji zawodowych. Lepiej niech pan sprawdzi, czy pieczeń nie będzie już dobra. Umieram z głodu!

Peter przyniósł mięso. Jedli z garnka, a Linda pomyślała przez chwilę o wytwornych nowojorskich restauracjach z ich śnieżnobiałymi obrusami. Ale ta zwyczajna potrawa smakowała jej jak nic dotąd. Powiedziała to głośno, a Peter skinął głową z zadowoleniem.

- Na świeżym powietrzu ma się zawsze lepszy apetyt.

Kiedy garnek był już pusty, Peter opłukał go wodą, dołożył parę gałęzi do ognia i wyciągnął się na kocu.

- Teraz poczułam zmęczenie i chyba zaraz zasnę — oznajmiła Linda. — Dobranoc!

Zawinęła się w pled i zamknęła oczy, przekonana głęboko, że przez całą noc sen nie nadejdzie. Po chwili podniosła jedną powiekę i zerknęła w kierunku Petera. Siedział bez ruchu w swoim kącie namiotu i wpatrywał się w ogień.

Nic o nim nie wiem, pomyślała. Nawet tego, czy jest żonaty. Ale przecież wcale mnie to nie interesuje! Wiele kobiet uważałoby, że nie sposób mu się oprzeć...

Dziwne myśli chodziły jej po głowie, kiedy próbowała znaleźć sobie na twardej podłodze nieco wygodniejszą pozycję. Odrobina trawy pod posłaniem zsunęła się na boki i zewsząd uwierała jakaś gałązka albo kamień. Linda znów zamknęła oczy, postanawiając nie patrzeć na siedzącego obok mężczyznę. Jego obrazu nie dawało się jednak w żaden sposób odpędzić. Dziewczyna wiedziała, że upłynie trochę czasu, zanim zapomni o Peterze.

Jednak udało się jej zasnąć, bo nagle obudziła się, drżąc na całym ciele. Było jej zimno, a kończyny miała zupełnie sztywne. Ognisko zdążyło się już zamienić w kupkę żarzącego się popiołu. Linda podniosła głowę i spojrzała na Petera. Leżał na boku

I spokojnie spał.

Co ją zbudziło? Czowała szybsze niż normalnie bicie własnego serca i strach. Usłyszała hałas — jakiś dziwny trzask niedaleko namiotu.

- Peter! — zawołała. — Halo, Peter!

- Hm? — odmruknął sennie mężczyzna, po czym odwrócił się i popatrzył na Lindę. W nikłym blasku bijącym od resztek ogniska zauważył jej przerażenie.

- Co się stało? — zapytał natychmiast czujny.

- Ten trzask na zewnątrz! Chyba skrada się niedźwiedź!

- Niech pani nie opowiada głupstw! Niedźwiedź w okręgu Hudson? Od trzydziestu lat nie widziano tu ani jednego. Chociaż przepisy chroniące dziką zwierzynę sprawiają, że trochę jej tu jest.

- Nie mam zamiaru słuchać teraz pańskich wykładów! — krzyknęła Linda ze złością. — Coś pełźnie z lasu prosto na nas i to z pewnością nie komar!

- Proszę spać dalej. Zające i sarny nic nam nie zrobią.

Peter odwrócił się i zamknął oczy.

Zapewne ma rację, pomyślała uspokojona Linda, a ja znowu zachowałam się idiotycznie.

Owinęła się kocem i skuliła w kłębek. Ale nagle szelest się powtórzył. Zerwała się.

- Peter!

Mężczyzna nie spał.

- Słyszę — mruknął. — Niech się pani nie denerwuje. To z pewnością nic groźnego, ale pójde sprawdzic.

Sięgnął po toporek i latarkę.

- Proszę nie odchodzić! — błagała Linda. — Boję się.

Peter westchnął.

- Chce pani wiedzieć, co panią przestraszyło, czy nie? Musi się pani trochę opanować.

- Lepiej pójdę z panem — zaproponowała nieśmiało.

- W żadnym wypadku. Dorzucę drewna do ogniska, nic więc się pani nie stanie. Dzikie zwierzęta boją się ognia.

W zielonych oczach Lindy malowała się zgroza. Czy ogień może kogoś ochronić? Dziewczyna wcale nie była o tym przekonana. Czowała się pewnie tylko w obecności silnego, rozważnego Petera.

Nadsłuchiwała odgłosu jego kroków. Widziała światło latarki, póki całkiem nie zniknęło. Strach zaostriął jej wszystkie zmysły. Naraz dało się słyszeć potwornie głośny trzask. Linda przycisnęła ręce do ust, by powstrzymać okrzyk przerażenia. W swojej wyobraźni widziała już Petera walczącego z ogromnym czarnym niedźwiedziem.

To była jej wina! Przez nią Peter oddalił się od grupy i musiał rozbić obóz na pustkowiu. Żeby tylko nic mu się nie stało!

Zrobiło się całkiem cicho. Noc znów otuliła się zagadkowym milczeniem. Linda słyszała tylko głośne bicie swojego serca.

Wtem obok namiotu rozległ się odgłos kroków. Dziewczyna wstrzymała oddech. W następnej chwili z ulgą wypuściła z płuc powietrze, rozpoznając Petera.

- Dzięki Bogu. Bałam się już, że pan zginął! — wykrzyknęła i zerwała się tak szybko, że aż zrobiło jej się niedobrze. Z radości zapomniała o bólu nogi.

Peter podbiegł do Lindy i objął ją.

- Niech mi pani znowu nie zemdleje. Przycisnął ją do siebie i trzymał mocno.

- Jest mi tylko trochę słabo — wyszeptła.

Mężczyzna zwolnił ucisk, a ona uległa pokusie i przytuliła się do silnego torsu.

Nie jest ranny, pomyślała uszczęśliwiona.

- Co się stało? — spytał czule i pogładził ją po plecach. — Pani cała drży.

- Tak się cieszę. Usłyszałam okropny trzask i...

- To była gałąź, na wpół złamana przez burzę. Omal nie upadła na nasz namiot. Musiałem ją odciąć, stąd ten hałas.

Jego głos nagle się zmienił, był dziwnie stłumiony. Dotknięcia przestały być delikatne, a Linda, ku swemu zaskoczeniu, zauważyła, że jej ciało natychmiast się im poddaje. Podniosła głowę i spojrzała na Petera. Stalowoszare oczy miały zamglony wyraz. Zniknęła z nich wyniosłość, ustępując miejsca czemuś całkiem nowemu. Linda poczuła się jak zaczarowana. Wiedziała, że Peter zaraz ją pocałuje i nie mogła, nie chciała temu zapobiec.

Gdy jego twarz przybliżyła się do jej twarzy, wargi Lindy rozchyliły się lekko. Czas stanął w miejscu, dopóki ich usta nie zwarły się, a ciałem dziewczyny nie wstrząsnął dreszcz. Pocałunek był z początku czuły i delikatny, potem żarliwy i pełen namiętności. Linda zapomniała o wszystkim. Miotłały nią uczucia, w jakie dotąd nie wierzyła. Z ogromną tęsknotą odwzajemniła pocałunek i całym ciałem przywarła do Petera.

Nigdy jeszcze nie czuła się tak zagubiona — zagubiona w ramionach mężczyzny, który działał na jej wszystkie zmysły. Krew jak ogień płynęła przez żyły, a dziewczyna zapomniała o wszystkim, z wyjątkiem tego, że Peter jest przy niej. Nie była już sobą, lecz częścią jego. Doznanie to wydawało się jej upojne, pełne szczęścia, po prostu wspaniałe. Linda pragnęła, by czas się zatrzymał. Wiedziała, że na ten pocałunek czekała przez całe życie. Cudowna chwila musiała się kiedyś skończyć. Peter odsunął od siebie Lindę na długość ramienia. Popatrzył w zamyśleniu na dziewczynę, a ona odwzajemniła spojrzenie, nie skrywając już swoich uczuć.

- No, tak — powiedział zwyczajnie, — Tak.

- Peter...
- Prowadzisz niebezpieczną grę, Lindo. Czy wiesz, jakie to może stać się poważne?
- Grę? — zaprotestowała gorąco. — To nie jest gra.
- A co? — zapytał.
- Ach, nic! — wykrzyknęła. — Cała ta sytuacja tak na nas podziałała. Jej kolana były jeszcze miękkie, a serce waliło jak oszalałe.
- Na mnie nic nie podziałało — wyjaśnił spokojnie Peter.

Linda stała niepewnie w blasku migających płomieni. Co on zamierza? Jasne, że będzie próbował doprowadzić tę scenę do jej nieuchronnego końca. Byli przecież zupełnie sami, tuż obok siebie w maleńkim namiocie.

- Nie mogę — powiedziała z zakłopotaniem. Pomyślała, że Peter uważa ją pewnie za osobę dość lekkomyślną. A jej namiętność była przecież prawdziwa.

- Czego nie możesz, Lindo? — zapytał i nagle znów przyciągnął dziewczynę do siebie. Ona zaś nie chciała się poddać pragnieniu czułości i uwolniła się z ramion Petera.

- Nie mogę... nie mogę spać z panem. Ja... pana wcale nie znam.

Mężczyzna roześmiał się.

- Chcesz tego tak samo, jak ja — stwierdził drwiąco — Przyznaj się.

- Do niczego się nie przyznam! Bałam się o pana, kiedy wrócił pan zdrowy i cały, poczułam wielką ulgę... nic więcej.

- Czy do wszystkich twoich grzechów nie dochodzi jeszcze i to kłamstwo? Było coś więcej!

- Nie!

- Myślałem, że jesteś światową kobietą z Nowego Jorku. Teraz wyglądasz, jakbyś właśnie przyjechała z Ohio.

Gdyby Linda nie była tak bardzo nieszczęśliwa, po tej uwadze dostałaby napadu złości. Prawie dokładnie bowiem zgadzało się to z prawdą. — Przykro mi, że tak pan widzi tę sprawę. Ale ja po prostu nie sypiam z obcymi mężczyznami.

- Myślę, że pani w ogóle nie sypia z mężczyznami — odparł Peter ze śmiechem! — Linda nabrała głęboko powietrza.

- Niech pan sobie myśli, co się panu podoba.

- Namiot dzielisz jednak ze mną. Twoja opinia i tak będzie zaszargana. Cała noc sam na sam z nieznanym facetem w romantycznej okolicy. Co powiedziałaaby ciocia Millie z B gdyby mogła cię teraz widzieć? Byłaby zszokowana, czyż nie?

- Nie mam żadnej cioci Millie! — odparła szorstko. - I jestem doprawdy zachwycona, że moje zasady moralne tak bardzo pana bawią. Dobranoc - po raz ostatni!

Duma miała stać się jej obroną. Linda szybko przykryła się cienkim pledem i odwróciła plecami do Petera...

Pierwsze słabe promienie słońca widać już było na horyzoncie, gdy Peter dotknął pleców Lindy. Przestraszona, natychmiast zerwała się ze snu.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Wyglądasz jak spłoszona sarna. Czas wstawać, musimy dogonić grupę.

- Czy burza minęła? — spytała Linda.

- Przekonaj się sama. Pokazał palcem na zewnątrz.

Niebo malowało się na różowo, ptaki ćwierkały, a świeże powietrze zapowiadało piękny dzień.

Linda nie mogła cieszyć się ze wspaniałego poranka, gdy przypomniła sobie minioną noc. Obserwowała Petera, który zadeptywał żar, tak by nie pozostała ani jedna iskra. To uświadomiło dziewczynie ponownie, jak bardzo człowiek ten związany był z naturą.

Linda wyjęła z plecaka szczoteczkę do zębów, mydło i ręcznik. Poprosiła Petera o butelkę z wodą i zniknęła za gęstymi krzewami, by dokonać porannej toalety.

- Pospiesz się! — usłyszała. — Tutaj otynkowane twarze z Manhattanu i tak nie mają wzięcia.

Poczuła się urażona jego grubiańskimi słowami. Najwyraźniej uważał, że jest próżna i powierzchowna. Kiedy jednak umyła się i uczesała, zaraz poczuła się lepiej. Przeczuwała, że pewność siebie będzie jej jeszcze tego dnia potrzebna. Postanowiła nadal zwracać się do Petera „pan”, mimo że on mówił jej „ty”. Miało to być coś w rodzaju muru obronnego między nimi.

Kiedy wróciła, okazało się, że wszystkie rzeczy są już spakowane.

- Jak twoja kostka? — spytał Peter szorstko. - Pokaż mi.

Posłusznie wyciągnęła nogę.

- Odpoczynek dobrze ci zrobił. Nic już nie widać.

Oderwał kawałek swojego podkoszulka i owinał wokół jej stopy.

- Zawiąż sznurowadła najmocniej, jak możesz. Wtedy noga nie będzie tak bolała podczas marszu.

- Peter — powiedziała Linda cicho. — Dziękuję za wszystko. Nie było to dla pana łatwe...

Wzruszył obojętnie ramionami.

- O każdą inną osobę troszczyłbym się tak samo. Linda przełknęła ślinę.

- Jeśli chodzi o ostatnią noc...

- Zapomnij o niej — powiedział niemiłym tonem. — Ja już zapomniałem.

### 3

Linda przekręciła klucz w drzwiach mieszkania, które dzieliła z Cecylią. Usłyszała głośną muzykę, co wskazywało, że koleżanka wróciła już uroczystości rodzinnej w Connecticut.

- Cecylio, ścisź trochę radio! — zawołała ze złością.

- Cześć, Lindo.

Cecylia wynurzyła się ze swojej sypialni. Była w przejrzystym negliżu, z koronką wokół dekoltu i pasujących do stroju miękkich pantoflach. Miała proste włosy, krótkie i jasne, kontrastujące z opalenizną, i idealnie równe, białe zęby.

- Jak było? Wycieczka się udała?

- Nie! — odparła Linda, marszcząc brwi.

- Nie? — zdziwiła się przyjaciółka. — Dlaczego? Czy coś się stało?

Linda opadła na kanapę w małym pokoju bawialnym i zdjęła buty. Pęcherze piekły okropnie, a spuchnięta kostka bolała.

Cecylia usiadła w fotelu i skrzyżowała swoje długie, szczupłe nogi.

- Zamieniam się w słuch. Linda spojrzała na nią ponuro.

- Było okropnie. Wszystko mnie boli. Przeżyłam najgorszą noc w moim życiu i ty jesteś temu winna!

- Ja? — zaprotestowała Cecylia ze śmiechem. — Myślałam, że będziesz się dobrze bawić. Do klubu należy dwóch interesujących facetów, zwłaszcza jeden jest bardzo przystojny i męski.

- Uważałam cię za miłośniczkę przyrody — odparła Linda, coraz bardziej wściekła. — Nie wiedziałam, że chodzisz na wycieczki tylko po to, by poznawać nowych mężczyzn.

Przyjaciółka zachichotała.

- Oczywiście; że kocham przyrodę. Zależy tylko, jaki jej rodzaj masz na myśli.

- Cecylio!

Linda dobyteła z siebie głębokie westchnienie.

- Ja w każdym razie miałam dobrą lekcję. Jutro pójdę co najwyżej pospacerować po Central Parku.

- Nie wpadł ci w oko żaden facet, z którym fajnie by się gadało?

- Było paru hobbystów ganiających za ptakami i arogancki typ o poglądach z zeszłego stulecia. Nic w moim guście.

Postanowiła nie wspominać o nocy w lesie, cała tamta sytuacja wydawała jej się zbyt upokarzająca.

- Biedna Linda — powiedziała Cecylia ze współczuciem. — Ale mnie też się weekend nie udał. Wiesz, spory rodzinne...

- W takim razie żadna z nas nie bawiła się dobrze. Wezmę teraz porządną kąpiel i zapomnimy o wszystkich kłopotach, O.K.

Cecylia uśmiechnęła się, odsłaniając swoje wspaniałe uzębienie. Była osobą nieskomplikowaną i nie miała tak ambitnych planów jak Linda. Pracowała jako asystentka w wydawnictwie, lubiła ekstrawaganckie stroje, a największą satysfakcję sprawiało jej nadszanie za każdą nową modą.

Linda napuściła do wanny wody tak gorącej, jak tylko dało się wytrzymać. Siedząc w pachnącej pianie, zaczęła znów rozmyślać o swoich przeżyciach na Indiańskiej Ścieżce. W żaden sposób nie udawało jej się uwolnić od wspomnień o Peterze i jego namiętym pocałunku. A przecież nie znała nawet nazwiska tego mężczyzny! Nie powiedział jej też żadnego komplementu, jak inni których dotąd spotykała. Z pewnością wołał silne wiejskie kobiety z włosami zaplecionymi w warkocze, szorstkimi rękami i w butach na płaskiej

podeszwie. Spojrzała na swoje długie, szczupłe palce o wypielegnowanych paznokciach i pokręciła głową.

Nie, na pewno nie była w jego typie, a i on nie odpowiadał wcale jej własnym wyobrażeniom o wyśnionym mężczyźnie. Nie pasowali do siebie, lepiej więc będzie o wszystkim zapomnieć. Ta fascynująca męska twarz, ten namiętny uścisk były tylko wytworami zbyt bujnej wyobraźni — przekonywała samą siebie. Później, gdy leżała już w łóżku, długo nie mogła jednak zmrużyć oka, a mężczyzna o imieniu Peter prześladował ją nawet we śnie...

Następnego dnia wstała wcześniej. Nogi już prawie nie bolały, opuchlizna zeszła, a pęcherze się wygoiły. Linda włożyła jasną, płócienną sukienkę, która podkreślała jej szczupłą talię. Do kołnierzyka przypięła jedwabny kwiat, a stopy wsunęła w skórzane sandały na wysokim obcasie. Weszła do kuchni, by przygotować sobie kawę i dwa jajka. Właśnie smarowała grzanek masłem, gdy w drzwiach stanęła zaspana Cecylia.

- Nigdy nie zrozumiem, jak możesz od samego świtu mieć taki apetyt — wymruczała, opadając na krzesło.

- Zdrowo jest zjeść rano porządne śniadanie — wyjaśniła Linda i podała przyjaciółce filiżankę kawy.

- Pośpiesz się, bo się spóźnisz.

- Ach, ta ciągła gonitwa — jęknęła Cecylia, wypijając pierwszy łyk.

Linda skończyła jeść, szybko się umalowała i sięgnęła po torbę. Pożegnała Cecylię, pozostawiając ją jej własnemu losowi i zamknęła drzwi mieszkania.

Był wspaniały letni poranek. Błękitne bezchmurne niebo rozpościerało się nad wielkim miastem, a liście nielicznych tutaj drzew błyszcząły świeżą zielenią.

Dziewczyna postanowiła nie korzystać z autobusu ani metra, lecz przejść się na piechotę. Otwierano właśnie sklepy, gdy tak szła słoneczną ulicą w kierunku oddalonego o kilkanaście domów wieżowca. Na jego trzydziestym trzecim piętrze mieściła się firma Addison i Gilbert. Linda zauważyła, że posępni zwykle przechodnie wyglądają jakoś sympatyczniej i potraktowała piękny poranek jako dobrą wróżbę na wszystko, co miało nadejść.

W biurze, które dzieliła z trzema innymi projektantami, usiadła zaraz przy stole kreślarskim i wyciągnęła swoje szkice. Zajął się pracą nad rysunkiem reklamującym pokarm dla psów i godziny zaczęły płynąć bardzo szybko. Po południu jej szef, pan Fitzhugh, zajrzał na chwilę do pokoju.

- Dobrze, Lindo — pochwalił rysunek.

- Dziękuję — bąknęła skromnie.

Też była z siebie zadowolona, wiedziała, że ma oryginalne pomysły. Któregoś dnia poznają się na jej talencie, była o tym przekonana.

Piękna letnia pogoda utrzymała się dłużej. W środę wieczorem Linda umówiła się na kolację z Joe Dumasem, młodym mężczyzną, który już od paru miesięcy zabiegał o jej względy. Tego dnia zaprosił ją do francuskiej restauracji.

Po mile spędzonych godzinach pozwoliła mu się pocałować. Joe był sympatycznym chłopcem, niewiele starszym od niej. Pracował w kancelarii adwokackiej, której niedawno został współwłaścicielem. Linda bardzo go lubiła i miała nadzieję, że w jego objęciach zapomni całkiem o Peterze.

Ale tak się nie stało. Wprost przeciwnie, pocałunek wywołał w niej raczej nieprzyjemne odczucia. Dziewczyna ukryła swoje rozczarowanie i szybko się pożegnała.

Biedny Joe! Nie zasługiwał na traktowanie go jak królika doświadczalnego, po to, by odpędzić wspomnienie o innym mężczyźnie...

Nazajutrz lało jak z cebra. Twarze ludzi na ulicy nie były już przyjazne, lecz posępne jak przedtem. Na Madison Avenue stały wielkie kałuże wody.

Linda powiesiła na wieszaku mokry płaszcz. Ponura atmosfera tego ranka musiała się jej udzielić, bo nie mogła wyrzesać z siebie choćby jednego dobrego pomysłu. Siedziała tak, gapiąc się na pustą kartkę, gdy drzwi otworzyły się i stanął w nich szef.

- Czy może pani przyjść do mojego biura, Lindo? Jest coś, co musimy omówić.
- Oczywiście.

Zdziwiona, wsunęła się za nim do luksusowo urządzonego gabinetu o dużych oknach, z grubym dywanem na podłodze.

Pan Fitzhugh wskazał Lindzie krzesło, na którym usiadła, starając się ukryć zdenerwowanie.

- Mam dla pani dobre wiadomości — rozpoczął.
- Nasza firma zyskała nowego klienta, przedsiębiorstwo „Wspólne Produkty”.
- Gratuluję — powiedziała, zastanawiając się, co to ma wspólnego z nią.

Fitzhugh ciągnął dalej:

- Naturalnie nie otrzymaliśmy zleceń na wszystkie wyroby, ale obiecujący początek został zrobiony. Mamy przygotować reklamówkę telewizyjną szamponu „Cud”. Z pewnością pani słyszała?

- Tak, ale myślałam że firma Barker i Co. robiła już reklamę tego szamponu.
- Zgadza się. A teraz na nas kolej. Pani, Lindo, ma opracować cały projekt.
- Ja? — wyszeptła zdumiona. Nigdy nie oczekiwała, że jej marzenia spełnią się tak

szybko.

Szef założył ręce na swoim wydatnym brzuchu. Najwyraźniej był z siebie bardzo zadowolony.

- Pani praca — dodał — nie pozostała nie zauważona.
- Ja... brakuje mi słów, panie Fitzhugh — wyjąkała Linda, gdy mogła już w ogóle coś powiedzieć. — Pochlebiamy mi pańskie zaufanie i zrobię wszystko, by pana nie rozczarować.
- Tego jestem pewien — odrzekł i uśmiechnął się szeroko. — W przeciwnym razie nie wybralibyśmy pani do tak ważnego zadania.

Linda miała śmieszne uczucie, że za jej nagłym awansem kryją się jeszcze jakieś inne przyczyny. Nie umiała jednak odgadnąć, jakie.

- Rozumie pani zapewne — powiedział szef z naciskiem, pochylając się w jej stronę — co oznacza to zlecenie? Koncern „Wspólne Produkty”! Gdybyśmy tak mogli przejąć reklamę wszystkich jego wyrobów! No, nie muszę pani tłumaczyć, czym byłoby to dla naszej firmy.

Linda rozumiała go bardzo dobrze i powtórzyła z powagą:

- Jestem przekonana, że potrafię wykonać to zadanie.
- Miejmy nadzieję — stwierdził Fitzhugh i jego słowa zabrzmiały nagle tak, jak gdyby nie był o tym całkiem przekonany.

Linda przeczuwała, że szef nie darzy jej bezgranicznym zaufaniem tym bardziej więc dziwiła się, że właśnie jej powierzył tę pracę.

Resztę dnia spędziła w archiwum, studiując wszystkie, dokumenty i wcześniejsze materiały reklamowe dotyczące szamponu. W drodze do domu kupiła nawet jedną butelkę, by wypróbować na sobie jego właściwości.

Cecylia była zachwycona, słysząc o awansie Lindy, choć nie całkiem rozumiała, dlaczego przyjaciółka aż tak bardzo przejmuje się swoją pracą. Linda wiedziała o tym doskonale i uważała, że właśnie dlatego żyją obie tak zgodnie, bo w niczym nie są do siebie podobne. W przyływie smutku zastanawiała się, czemu nie mogłoby tak być między nią a Peterem. Też różnili się we wszystkim, a nie mogli się wcale porozumieć.

Następnego dnia pan Fitzhugh wręczył jej listę z nazwiskami ludzi, którzy mieli wziąć udział w opracowywaniu projektu. Linda wyraziła życzenie odbycia natychmiast narady z całą grupą.

- Doskonale — powiedział szef z uznaniem. — Panowie ze „Wspólnych Produktów” chcą w przyszłym tygodniu spotkać się z panią i wszystkimi współpracownikami, by wysłuchać waszych propozycji. Rozmowa ma się odbyć już w środę.

- Dobrze — zgodziła się Linda. serce zabiło jej nieco mocniej. Miała mało czasu i musiała szybko zabrać się do pracy. Od jej wyników tak wiele przecież zależało!

Jak zawsze, gdy ogarniały ją wątpliwości, starała się przekonać samą siebie: jesteś zdolna i potrafisz pracować tak, by zadowolić najbardziej wymagających menażerów!

Narada z załogą okazała się nadzwyczaj owocna. Linda pokazała swoje szkice, a współpracownicy mieli parę własnych, dobrych propozycji. Stwierdziła, że może polegać na tych ludziach, którzy, jak widać było, dawali z siebie wszystko. Jej nastrój znacznie się więc poprawił.

I pozostał taki przez cały weekend, kiedy w domu pracowała dalej nad rysunkami. Codziennie myła głowę szamponem „Cud” i zauważyła z zadowoleniem, że jest naprawdę znakomity. Jej włosy stały się miękkie i błyszczące, jak zawsze sobie tego życzyła. Mogła więc z czystym sumieniem podpisać się pod przygotowywaną reklamą.

W środę Linda i jej współpracownicy byli gotowi do prezentacji swoich projektów zleciendawcom, którzy mieli się zjawić w eleganckiej sali konferencyjnej firmy Addison i Gilbert.

Linda ubrała się na tę okazję szczególnie starannie. Włożyła suknię z jedwabnego dżerseju w kolorze delikatnej zieleni. Włosy upięła wysoko, by nie wydawało się, że jest zbyt młoda. Stwierdziła, że wygląda jak dama, z odpowiednią dozą chłodnej elegancji.

Pan Fitzhugh był najwyraźniej tego samego zdania, bo popatrzył na nią z podziwem i skinął głową. — Świetnie, Lindo. W takim razie musimy teraz... Aha, jest już prezes koncernu „Wspólne Produkty”, pan Markham. To szalenie dynamiczny człowiek. Na pewno się pani z nim dogada.

Linda poczuła treść, wchodząc za swoim szefem do sali konferencyjnej. Najpierw zobaczyła tylko kilku panów siedzących przy długim dębowym stole. Ale nagle z tłumu wyłoniła jej się jedna twarz! Modnie ostrzyżony mężczyzna w szarym, trzyczęściowym garniturze był tym samym, którego знаła jako Petera...

## 4

Linda odetchnęła parę razy głęboko i na sekundę zamknęła oczy. Pomyślała, że to musi być albo halucynacja, albo zaskakujące podobieństwo między dwiema różnymi osobami, co przecież czasem się zdarza. Lecz gdy spojrzała po raz drugi, była już pewna, że to nikt inny jak Peter, z którym spędziła całą noc w Appalachach, siedzi teraz u szczytu stołu i uśmiecha się do niej.

Carson Fitzhugh przedstawił przybyłych panów, podczas gdy Linda nerwowo bawiła się zamkiem swojej torebki. Chłodne szare oczy Petera obserwowały ją z nie ukrywaną uciechą. Kiedy ich spojrzenia się spotkały, mrugnął do niej, tak szybko, że nikt nie mógł tego zauważyć.

Lindzie zapało dech. To przecież niesłychane! O co mu właściwie chodzi? Chce ją zbić z tropu, żeby zaczęła się jąkać i kompletnie się ośmieszyła?

Zanim zdołała odzyskać jasność myśli, usłyszała głos swego szefa:

- To jest panna Linda Parker, której powierzyliśmy zadanie opracowania reklamowego projektu. Należy ona do naszych największych talentów, ma dobre i oryginalne pomysły. Wspierać ją będzie świetny zespół...

Pokazał na pozostałych pracowników, a Lindę wziął za ramię, by przedstawić ją każdemu z gości.

- Pan Roberts, pan Lindstrom, pan Perez, pan Clinton — i prezes, pan Peter Markham.

- Dzień dobry — powiedziała Linda uprzejmie, wyciągając ku niemu szczupłą dłoń. Peter ujął ją i ścisnął jak w imadle. Mimo że trochę to zabolalo, poczuła dreszcz biegnący po plecach.

- A więc, panno Parker — powiedział przyjaźnie Peter Markham — proszę powiedzieć, co ma nam pani do zaproponowania. Wiem już trochę o pani i jej pracy, jestem więc bardzo ciekaw, czy ta dobra opinia znajdzie potwierdzenie.

Lindzie zrobiło się gorąco, a zaraz potem zimno, bo zrozumiała, że była to aluzja do rozmowy w namiocie. Najwyraźniej chciał ją wprowadzić w zakłopotanie i to przed całym szacownym gronem.

Ogarnął ją gniew. Już ona mu pokaże! Nie da się tak łatwo zbić z pantałyku!

- Panie Markham — odparła łagodnym tonem, a jej zielone oczy zmieniły się w wąskie szparki — jestem przekonana, że moje pomysły będą się panu podobać.

Podeszła do tablicy, na której wisiały jej szkice. Czuła na plecach męskie spojrzenia i pomyślała z zadowoleniem, że ma na sobie efektowną jedwabną suknię, podkreślającą jej szczupłą figurę. W tej trudnej sytuacji potrzebowała każdego punktu na swoją korzyść.

Odwróciła się z promiennym uśmiechem i rozpoczęła pewnie:

- Przygotowaliśmy parę koncepcji, które pozwolą zwiększyć szanse zbytu produkowanego przez wasz koncern szamponu. Sama najpierw wypróbowałam jego działanie i byłam bardzo zadowolona. Mój szczerzy zachwyty znalazł odbicie w projektach reklamowych.

Pełen uznania pomruk, jaki dał się słyszeć od stołu, sprawił, że Linda nabrała rozpędu i nie zwlekając, pokazała pierwszy z rysunków. Przedstawiał on śliczną dziewczynę, która myje swoje czarne gęste włosy w górskim źródle i splukuje je pod wodospadem. Piękność stała po kolana w przejrzystej błyszczącej wodzie, a na zalesionym brzegu siedziały zwierzęta, przyglądając się z zachwytem owej scenie.

- W filmie — ciągnęła Linda — rzeczywistość powinna się mieszać z fantazją. Dziewczynę zagra modelka, a zwierzęta będą kukielkami jak z Muppetów. Taka kombinacja da efekt nowoczesnej bajki, działającej silnie na emocje widza. Jako podkład dźwiękowy wybierze się odpowiednią muzykę, a tekst reklamy odczytany zostanie przez spikera o ujmującym, miękkim głosie.

Gdy skończyła, zauważyła, że wszyscy mają bardzo zadowolone miny. Z wyjątkiem Petera Markhama. Jego twarz była nieruchoma niczym maska.

Rozległy się słowa pochwał, w rodzaju „bardzo dobre”, „robi wrażenie”, „przemawia do wyobraźni”. Linda przyjęła je z pełnym spokojem, ale w duchu radowała się ogromnie swoim zwycięstwem. Udało jej się zyskać uznanie zleceniodawców! Pan Fitzhugh wyglądał nacieszonego, ale i zdziwionego zarazem.

- I co, Peter? — spytał mężczyzna, przedstawiony wcześniej jako Clinton. — Co pan o tym sądzi?

Wszystkie spojrzenia skierowały się na prezesa który trwał nieporuszenie u szczytu stołu. Wyraz jego oczu ugodził Lindę jak strzała. Co też powie sam wszechmocny? Cała sprawa zależała przecież od jego wyroku.

- Jakie jest pańskie zdanie? — powtórzył Clinton.

Peter odwrócił od Lindy kpiący wzrok i powiódł nim po swoich współpracownikach.

- Projekt ten może okazać się przydatny — odrzekł spokojnie — pod warunkiem, że zostanie dopracowany.

Linda była zaskoczona.

- Oczywiście, że musimy go jeszcze wygładzić — zawołała.

Carson Fitzhugh podniósł ostrzegawczo brew, jakby chciał powiedzieć: Proszę nie zapominać, z kim pani rozmawia!

- Cieszę się, że pani rozumie — stwierdził Peter, jeszcze raz do niej mrugając. Najwyraźniej rozkoszował się tą konfrontacją!

- Panie Markham — odparła aksamitnym głosem dziewczyna — zlecenie dostaliśmy zaledwie przed tygodniem. Było za mało czasu, żeby przygotować projekt perfekcyjny pod każdym względem.

Peter skinął głową.

- Naturalnie, panno Parker. Jestem bardzo zainteresowany powodzeniem tej kampanii reklamowej i oczekuję, że będzie mnie pani na bieżąco informowała o jej postępach. Nawet jeśli siedząc w domu wymyśli pani coś nowego, chcę zaraz o tym wiedzieć!

Linda zjeżyła się wewnątrz, słysząc tę bezczelną, ukrytą propozycję, ale udało jej się przywołać na twarz miły uśmiech i powiedzieć uprzejmie:

- Rozumiem pańskie zainteresowanie, panie Markham.

Peter podziękował zgromadzonym i znów odwrócił się w jej stronę.

- Musimy jeszcze omówić kilka szczegółów. Możemy pójść do pani biura?

Usłyszał to pan Fitzhugh.

- Nie — powiedział szybko. — Proszę raczej skorzystać z mojego — jest większe i bardziej wygodne.

Linda omal się nie roześmiała. Niedługo szef odda jej pewnie do dyspozycji własny gabinet.

Fitzhugh poszedł przodem i zatrzymał się z wahaniem pod drzwiami. Linda rozumiała go — nie był pewien, czy może młodą, niedoświadczoną pracownicę zostawić samą z prezesem ważnego koncernu. Zbyt wiele zależało od tego zlecenia. Szef nie mógł przecież nic wiedzieć o romantycznym sam na sam w namiocie. Dzięki Bogu, pomyślała.

- Czy mogę jeszcze coś dla pana zrobić, panie Markham? — zapytał.

- Na razie nie, zadzwonię wkrótce — odparł niedbale Peter.

Fitzhugh spojrział z udreżonym wyrazem twarzy na Lindę i opuścił pokój. Dziewczyna uśmiechnęła się, zastanawiając w duchu, czy przełożony będzie podsłuchiwał pod drzwiami.

Peter zajął miejsce za wypolerowanym biurkiem Fitzhuga i obserwował ją, nic nie mówiąc. Poczula się niepewnie, ale obiecała sobie, że nie odezwie się pierwsza. Niech on zacznie.

- I co, Lindo? — powiedział wreszcie. — Jesteś zaskoczona widząc mnie tutaj?

- Tak... Chociaż właściwie nie powinnam się dziwić. Diabeł zjawia się zwykle wtedy, gdy nikt go się nie spodziewa.

Wybuchnął śmiechem.

- Znów mam przed sobą małą dziewczynkę z Ohio. Ale tam — wskazał na salę konferencyjną — tam byłaś prawdziwie światową damą!

- Jaka grę pan planuje, Peter? A może powinnam mówić „panie Markham” albo jeszcze lepiej „ekscelencjo”

- Dlaczego uważasz, że to gra? — spytał łagodnie.

- Nie jestem idiotką! Kiedy pana rozpoznałam, wiedziałam od razu, że to pan zainscenizował tę historię z reklamą. Po co? Żeby mnie upokorzyć? Udało się to już panu dostatecznie podczas wycieczki, nie sądzi pan?

- Jak widzę, masz jeszcze słodkie wspomnienie nocy, którą razem spędziliśmy.

- Nie spędziliśmy razem nocy — zaprzeczyła gniewnie. — Przynajmniej nie w sensie, który ma pan na myśli.

Nie mogła niestety nic poradzić na to, że jej twarz oblała się czerwienią.

- Sens, który nadajesz moim słowom, jest wyłącznie wynikiem twojej własnej fantazji.

- Ach, niech pan przestanie!

Linda zauważyła nagle, że stoi przed nim niczym pełna gotowości sekretarka. Przynajmniej to może zaraz zmienić. Z godnością podeszła do fotela i usiadła, zakładając nogę na nogę.

- O.K. zabawił się pan i wystarczy. Ale dla mnie nie ma w tym nic wesołego, panie Markham. O co panu właściwie chodzi?

- Przecież to całkiem jasne. Szukałem nowej firmy reklamowej, bo zamierzam zwiększyć sprzedaż kilku artykułów. Tak przekonująco opowiadałaś o firmie Addison i Gilbert oraz o własnych zdolnościach, że zrobiło to na mnie wrażenie. Postanowiłem dać ci szansę.

- Czyżby? — spytała ostrożnie. Bardzo chciała mu wierzyć. W tym szytym na miarę garniturze wyglądał niezwykle poważnie i elegancko.

- Tak! — zapewnił.

- Jestem trochę zaskoczona, widząc, jaką ma pan pozycję. Myślałam, że żyje pan na wsi i uprawia rolę...

W Lindę wstąpił zły duch. Musiała powiedzieć Peterowi coś obraźliwego.

- Tym również się zajmuję, niestety tylko czasem, gdy pozwalają mi na to moje interesy.

Nie wydawał się wcale urażony jej słowami.

- Wiesz, ludzie wyglądają często na innych, niż są w rzeczywistości. Ty na przykład robisz wrażenie zimnej, wyrachowanej mieszkanki Nowego Jorku — przez sposób, w jaki się ubierasz, czeszysz, a nawet mówisz. Ale pod tą sztuczną powłoką kryje się serce prostej, wiejskiej dziewczyny.

Jeden do jednego, pomyślała Linda z wściekłością. Potrafi więc oddawać ciosy.

- Co pan powie! — odparła lodowatym tonem.

- A pan — zwykły wiejski chłop — zrzuca nagle maskę i okazuje się dziarskim biznesmenem.

- Kłótnia skończona? — zapytał z rozbawieniem. — Powiedz, czy to prawda, że sama wypróbowałaś szampon „Cud”?

- Oczywiście! Nie mówiłabym o tym, gdyby tak nie było.

- Skoro więc nasz produkt jest aż tak dobry, dlaczego ukrywasz swoje włosy, nosząc fryzurę starej, surowej nauczycielki?

Linda bezwiednie dotknęła głowy, zaraz jednak pożałowała swego gestu, bo Petera znów ubawiła jej reakcja.

- Czeszę się, jak mi się podoba — powiedziała oschle. — Oferuję panu moje umiejętności projektantki, ale nie daję prawa, by mi pan dyktował, jak mam wyglądać.

- Moje podwładne nie pouczają mnie, co mogę, a czego nie!

- Nie jestem pańską podwładną! Kąciki jego ust drgnęły.

- Ale jeśli będziesz, czy potrafisz wówczas traktować mnie z należytych respektem?

Linda była zadowolona, że między nimi stało biurko, bo jej chęć spoliczkowania Petera rosła z każdą chwilą. Aż swędziały ją ręce.

- Nie widzę żadnego sensu w tych utarczkach — powiedziała rozzłoszczona. — Interesują pana moje projekty, czy nie?

Długo się zastanawiał, zanim odpowiedział:

- Interesują mnie, nawet bardzo, Lindo. Tak bardzo, że proponuję na dziś wspólną kolację, podczas której będziemy mogli dalej o nich dyskutować.

Spojrzał na zegarek.

- Za piętnaście minut mam następną naradę.

Linda walczyła ze sobą przez chwilę, po czym zapytała gwałtownie:

- Ta kolacja — czy to będzie spotkanie czysto służbowe?

- Ależ Lindo! Pani mnie zadziwia! O czym pani myśli?

Porzucił nagle formę „ty”. W Lindzie wszystko gotowało się ze złości. Zawsze umiał wykręcić kota ogonem i zmusić ją, by przeszła do defensywy.

- Dopóki się tak dobrze rozumiemy — wyjaśniła zimno — szczęśliwa będę, spędzając wieczór w pańskim towarzystwie, by porozmawiać o kampanii reklamowej.

- W porządku. Zna pani restaurację „L'Oille Douce”? Na rogu Czterdziestej Dziewiątej Ulicy i Drugiej.

Linda skinęła głową. Jakoś znajdzie ten lokal.

- O której godzinie?

- O ósmej. Spotkamy się na miejscu. Proszę wziąć ze sobą wszystkie materiały, które uzna pani za przydatne.

Teraz był znowu chłodnym biznesmenem.

- Dobrze. O ósmej, w „L'Oille Douce”.

Peter wstał zza biurka. Linda podała mu rękę, a on uściśnął ją z roztargnieniem.

Carson Fitzhugh czekał już, gdy dziewczyna weszła do swego pokoju.

- Jak było? — spytał z troską.

- Bardzo dobrze. Pan Markham miał kolejne spotkanie, musiał więc już wyjść. Ale zobaczę się z nim jeszcze dziś na następnej naradzie.

Nie wspomniała, że narada ma się odbyć przy kolacji. Fitzhugh powinien myśleć, że cała ta sprawa ma wyłącznie charakter służbowy.

Reszta dnia upłynęła w wirze przygotowań, z których wszystkie miały coś wspólnego z szamponem „Cud”. Projekt reklamy pokarmu dla psów został przekazany innemu pracownikowi, tak że Linda mogła się bez przeszkód poświęcić nowemu zadaniu.

Kiedy wreszcie wyszła z biura, było już dość późno. Pozwoliła sobie na rzadki luksus i wzięła taksówkę. Jadąc do domu, przeżywała raz jeszcze nieoczekiwane spotkanie. To był prawdziwy szok. Dotychczas myślała, że udało jej się już zapomnieć o tym mężczyźnie. Pocałunek w górach wymazała z pamięci, mówiąc sobie: ten romans skończył się, zanim jeszcze naprawdę się zaczął. Teraz jednak wszystko wyglądało inaczej. Przyspieszone bicie serca zdradzało, że wieczorna kolacja oznacza dla Lindy coś więcej niż zwykłe służbowe spotkanie.

Okazało się, że w Peterze tkwią dwie różne osobowości, a każda z nich ma swój własny zniewalający, męski czar. Zarówno ta świetnego turysty, jak i pewnego siebie przedsiębiorcy...

Cecylia była już ubrana do wyjścia, gdy Linda stanęła w progu mieszkania.

- Późno wróciłaś. Jak ci poszło z projektem?

Linda westchnęła.

- Nie wyobrażasz sobie, co dziś przeżyłam.

- Niestety, teraz nie mogę cię wysłuchać. Opowiesz mi wszystko potem, O.K.?

- Jasne, baw się dobrze.

Zadzwieczał dzwonek i Cecylia odpłynęła w obłoku jakichś egzotycznych perfum. Linda nie zdążyła nawet obejrzeć oliwkowozielonego garnituru w stylu marine, w którym jej przyjaciółka wyglądała jak mała laleczka. Pasująca do stroju marynarska czapka była jak prawdziwa, a jednocześnie zwariowana, jak to Cecylia lubiła.

Gdy w mieszkaniu zrobiło się całkiem cicho, Linda zaczęła chodzić po nim tam i z powrotem.

Szkoda, że nie lubię alkoholu, pomyślała. Właściwie mogłabym nalać sobie jedną szklaneczkę.

Ale zaraz pokręciła przecząco głową. Wiedziała, że pijąc stwarza się sobie więcej problemów, niż rozwiązuje. Postanowiła więc wykorzystać pozostały czas na poprawienie swego wyglądu.

Najpierw wzięła pachnącą kąpiel, a na powieki położyła kompresy z rumianku. Jej ciało odprężyło się pod wpływem miłego ciepła, ale myśli nadal wyprzedzały zdarzenia.

Kolacja z Peterem Markhamem w wytwornej francuskiej restauracji była czymś zupełnie innym niż wołowina z garnka jedzona w namiocie.

Po wyjściu z wanny otuliła się płaszczem kąpielowym i zaczęła malować paznokcie. Wybrała lakier w kolorze mocnej czerwieni, zamiast blad różowego, którego zwykle używała. Odsunęła ręce i z zadowoleniem przyjrzała się swemu dziełu.

Gdy lakier wysechł, sięgnęła po jasny puder i zielony cień do powiek, podkreślający barwę jej oczu. Rzęsy wytuszowała starannie na czarno. Na koniec dotknęła miejsc, gdzie rysowały się jej wysokie kości policzkowe, odrobiną różu, a pełne lekko wygięte usta pociągnęła czerwoną szminką. Potem stała dłuższą chwilę przed szafą, żałując, że nie ma czegoś nowego, co mogłaby włożyć na dzisiejszy wieczór.

Co powiedziałby Peter, pomyślała z uśmiechem rozbawienia, gdyby tak zjawiała się w kowbojskim ubraniu Cecylii, które przyjaciółka właśnie sobie kupiła?

W końcu zdecydowała się na obcisłe spodnie z czarnej gabardyny i kremową, jedwabną bluzkę, która była tak droga, że Linda nawet nie miała ochoty przypominać sobie jej ceny. Kiedy jednak spojrzała do lustra, stwierdziła, że bluzka warta jest tych pieniędzy.

Odbicie ukazywało piękną młodą kobietę, pasującą do najbardziej eleganckiego otoczenia. Włosy, spadające na ramiona, błyszcząły wspaniale dzięki nowemu szamponowi. Przypomniała sobie, co powiedział Peter o jej uczesaniu i zdecydowanym ruchem sięgnęła po szczotkę.

Nie miał prawa myśleć, że wpłynął na jej zdanie. Upięła włosy w koczek, zostawiając wokół twarzy parę loków, by złagodzić surowość fryzury. Dopełnieniem całego dzieła było kilka kropli drogich perfum, których Linda używała tylko przy szczególnych okazjach. A taka właśnie się nadarzała!

Dziewczyna rzuciła jeszcze ostatnie spojrzenie w lustro, zanim zamknęła za sobą drzwi mieszkania. Czuła się dobrze uzbrojona przeciwko wszystkiemu, co mogło się zdarzyć w najbliższych godzinach.

Był ciepły letni wieczór. Światło dnia zmieniało się właśnie w szarość zmierzchu. Linda chciała pójść pieszo, ale po chwili zastanowienia zdecydowała się wziąć taksówkę.

Restauracja już z zewnątrz robiła wrażenie bardzo wytwornej i Linda zawahała się przez moment. Przewyciężyła jednak zdenerwowanie i szybko otworzyła drzwi. W środku panowała atmosfera luksusu, którą potęgowały osłonięte abażurami lampy i drogie meble.

Dziewczyna zauważyła to tylko przelotnie, bo natychmiast podszedł do niej mężczyzna w wieczorowym garniturze.

- Czym mogę służyć?

- Jestem umówiona z panem Peterem Markhamem — odparła chłodno.

Mężczyzna, wyglądający zdaniem Lindy na nieco zblazowanego, zerknął na trzymaną w ręku listę.

- Tak, pan Markham zarezerwował u nas stół. Proszę za mną.

Linda nie mogła dostrzec nigdzie znajomej twarzy Petera.

Szef sali zatrzymał się jednak przy jednym ze stolików.

- James Clinton — pamięta mnie pani? — powiedział siedzący tam mężczyzna, podnosząc się i kłaniając Lindzie. — Świetnie, że jest pani tak punktualna, panno Parker.

Kierownik sali podsunął jej krzesło.

- Co podać do picia?

- Proszę o sok pomidorowy.

Linda uśmiechnęła się do Jamesa Clintona. Była zadowolona, że przyszła wcześniej niż Peter.

- Nie miała pani problemów z odnalezieniem tego miejsca? — spytał Clinton uprzejmie.

- Zdałam się na taksówkarza.

Uśmiechnął się i zaczął mówić, jak bardzo podobał mu się wykład wygłoszony dziś rano przez Lindę.

- Ma pani duże zdolności — stwierdził z uznaniem. — Wróżę pani wielką przyszłość w naszym koncernie. Petera też pani oczarowała. Wiem, on mówi niewiele, ale dobrze znam jego reakcje.

- A gdzie on się podziewa? — zapytała Linda, dziwiła się bowiem, że jeszcze się nie zjawił.

Z pewnością coś go zatrzymało, tyle miał jeszcze spraw do załatwienia. Może później przyłączy się do nas, ale nie liczyłbym na to.

## 5.

Linda zdziwiła się, że tak bardzo zabolą ją i rozczarowała wiadomość, iż Peter nie przyjdzie. Ukryła zmieszanie, przeglądając papiery, które przyniosła ze sobą w małej teczce.

- Zostawmy teraz sprawy służbowe — powiedział Clinton, najwyraźniej w dobrym humorze — i zajrzyjmy do karty.

Dziewczyna zgodziła się z uśmiechem. Jakiż to miły człowiek jest prawą ręką Petera, pomyślała.

James Clinton miał sympatyczną wąską twarz i ciemne włosy, które zaczynały mu siwieć na skroniach. Był w wieku około czterdziestu lat: wysoki, szczupły, barczysty, prezentował się bardzo dobrze. Jako towarzysz przy stole — w pełni do zaakceptowania.

Podano kolację składającą się z trzech wspaniałych dań. Ale Linda prawie nie mogła jeść, zbyt wielki czuła zawód z powodu nieobecności Petera. Z trudem udawało jej się robić dobrą minę do złej gry. Clinton zadawał dziewczynie wiele pytań i z zainteresowaniem słuchał odpowiedzi. Widać było, jak bardzo sprawa kampanii reklamowej leży mu na sercu.

Linda zręcznie skierowała rozmowę na interesujący ją temat.

- Przykro mi, że nie ma z nami pana Markhama — powiedziała współczująco. — Zarządzanie tak potężnym koncernem musi być męczące. Trzeba do tego dużej ambicji...

- Ambicja nie jest tu może najlepszym słowem. Peter dysponuje nieograniczoną wprost energią. Kieruje „Wspólnymi Produktami” od dawna.

- Odziedziczył firmę po ojcu?

Linda zmieniła swoją opinię na temat Petera. Teraz uważała go za rozpieszczonego synka bogatych rodziców, od których dostał przedsiębiorstwo jak na srebrnej tacy. Jego arogancja wynika zapewne z określonego sposobu wychowania, przypuszczała. Prywatne szkoły, luksusowa willa, własny koń w stajni... Takie zupełnie oczywiste sprawy były chyba od dzieciństwa częścią życia tego faceta.

James Clinton patrzył w zamyśleniu przed siebie.

- Nie — powiedział w końcu. — Peter niczego nie odziedziczył. Nigdy właściwie nie mówił o swoim pochodzeniu, nawet my, najbliżsi współpracownicy, niewiele o nim wiemy. To zagadkowy człowiek. Firmę założył przed piętnastu laty i okazał się prawdziwym geniuszem finansowym, z małego, skromnego przedsiębiorstwa uczynił znany na śmiecie koncern. Coś takiego można tylko podziwiać.

- To prawda — przyznała Linda irytując się w duchu, że znów musi zmienić zdanie. — Ciekawi mnie jednak człowiek który kryje się w tym geniuszu.

Wypiła łyk kawy i spojrzała na Clintona znad trzymanej w ręku filiżanki.

- Nie panią jedną. — Uśmiechnął się. — Peter jest bardzo zamknięty w sobie. Nigdy nie udziela wywiadów i nie sądzę, by jego nazwisko znalazło się kiedykolwiek na łamach którejs z plotkarskich gazet. Nie utrzymuje kontaktów towarzyskich z ludźmi, z którymi pracuje i niewielu z nich zaprasza do swego domu.

- Do swojego domu na wsi? — chciała dokładnie wiedzieć Linda.

- Na wsi? Mówię o jego domu przy Piątej Alei. Mieszka tutaj, na Manhattanie. Posiadłość ma zresztą przepiękne położenie — z widokiem na Hudson.

- Hm — mruknęła Linda, zastanawiając się czy mężczyzna poznany w Appalachach nie był czasem bliźniaczym bratem Petera. Te dwie osobowości nie miały przecież ze sobą żadnych wspólnych cech. Czy to możliwe, by Clinton nigdy nie słyszał o wiejskim domu w Columbi? A może Peter kłamał? Po cóż jednak miałby wymyślać jakieś brednie? Nie, w całej tej historii kompletnie nic się nie zgadzało.

Przez ostatnie pół godziny spojrzenia Lindy niezliczoną ilość razy biegły w kierunku drzwi wejściowych, w nadziei, że przedmiot rozmowy pojawi się tam we własnej osobie.

Niestety, napotykały jedynie biegającego tu i tam kierownika sali.

Linda zerknęła na zegarek.

- Już prawie jedenasta — stwierdziła. — A jutro czeka mnie ciężki dzień.

- Mnie także — westchnął James Clinton. — Kolacja w pani towarzystwie była prawdziwą przyjemnością, a ponadto uzyskałem wiele cennych informacji. Przekażę je Peterowi, a on z pewnością skontaktuje się z panią.

Poprosił o rachunek, horrendalnie wysoki, jak przypuszczała dziewczyna. Clinton wyjął kartę kredytową. Po chwili wstali od stolika.

- Było mi bardzo miło — powiedział uprzejmie mężczyzna. — Czy mogę odwiedzić panią do domu?

- Ma pan gdzieś w pobliżu swój wóz? — spytała, zastanawiając się, ile zaoszczędziłaby na taksówce.

- Tam stoi mój samochód służbowy — wskazał na luksusową limuzynę z szoferem w środku.

- W takim razie chętnie skorzystam z tej miłej propozycji — odrzekła i podała swój adres.

Clinton pomógł jej wsiąść do samochodu. Opadła na miękkie siedzenie, przyglądając się z zadziwieniem eleganckiemu wnętrzu, z telefonem i telewizorem. Coś takiego widywała dotychczas tylko w kinie.

Po krótkiej jeździe pożegnała się serdecznie z Clintonem. Nieco zmęczona, otworzyła drzwi mieszkania.

Cecylia oczywiście jeszcze nie wróciła, było na to zbyt wcześnie.

W Lindzie kotłowały się sprzeczne uczucia. Z jednej strony była bardzo zadowolona przebiegu spotkania.

Jamesowi Clintonowi projekt się podobał, wiedziała, że współpracownik Petera w razie czego ujmie się za nią. Z drugiej strony jednak nie mogła przezwyciężyć rozczarowania z powodu nieobecności tego, który zaprosił ją na dzisiejszą kolację.

Doszła do wniosku, że zachowuje się dziecinnie i ganiąc samą siebie powędrowała w kierunku sypialni. Zdjęła swoje wytworne spodnie i jedwabną bluzkę. Niepotrzebnie zadała sobie tyle trudu, by ładnie wyglądać, stwierdziła z przygnębieniem. Sięgnęła po szlafrok, który leżał na łóżku. Powoli wyjmowała spinki z włosów i z lekkim żalem zaczęła zmywać piękny makijaż. Właśnie skończyła, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Cecylia znowu zapomniała klucza, pomyślała ze złością.

- Zaraz, już idę!

- Jeśli i tym razem przepadły ci klucze... — rozpoczęła, mocując się z zamkiem i nagle słowa uwięzły jej w gardle. Stał przed nią uśmiechnięty Peter.

- Nigdy nie gubię kluczy — powiedział z rozbawieniem.

- Co pan tu robi? — zapytała nieuprzejmie, zastępując mu drogę.

- Byliśmy umówieni, czyż nie?

- Owszem, pan się jednak nie zjawił?

- Ale przyszedłem teraz. Nie zaprosi mnie pani do środka?

- Jest już późno. A w ogóle — skąd pan ma mój adres?

- Jeśli odsunie się pani trochę, żebym mógł wejść, zaraz wszystko wyjaśnię — oświadczył rozkazującym tonem i Linda bezwiednie posłuchała.

Jej twarz płonęła czerwienią, bo dziewczyna od początku zdawała sobie sprawę, że wyglądać musi nader śmiesznie. Opanowała jednak swoje zakłopotanie. Peter nie ujrzy jej jękającej się ze zdenerwowania!

On w tym czasie podszedł do kanapy i usiadł wygodnie. Najwyraźniej bawiła go cała ta sytuacja.

- No i co? — spytała Linda nieprzyjaźnie.

- Rozmawiałem przez telefon z Jamesem, który pamiętał pani adres.

- Jego kierowca odwiózł mnie do domu.

- Słyszałem. Dlaczego nie usiądzie pani koło mnie? Nie jest miło, gdy tak pani stoi.

- Wtargnął pan tutaj bez zapowiedzi, a ja... — Linda spojrzała na swój krótki szlafroczek i gołe nogi.

- A pani jest nie ubrana — dokończył. — Nic nie szkodzi. Uważam, że wygląda pani zachwycająco, o wiele lepiej niż dziś rano.

- Co panu przychodzi do głowy? — zawołała ze złością.

Po chwili zawahała się.

- A co niby było wcześniej nie w porządku w moim wyglądzie?

Roześmiał się.

- Dlaczego kobiety są tak wrażliwe na punkcie swojej prezencji? Pani przypominała mi modelkę z czasopisma poświęconego drogim fatalaszkom. Sztuczną, nazbyt wyrafinowaną! A teraz jest pani wreszcie sobą — nieśmiałą dziewczynką, która boi się burzy i ciemności. Czyżbym się mylił? Kim więc jest prawdziwa Linda Parker?

- A kim jest prawdziwy Peter Markham! — wtrąciła.

- Wolno pani pytać, ale proszę nie spodziewać się odpowiedzi. Sama musi pani zgadnąć.

- Dlaczego miałoby mnie to interesować? Przepraszę pana teraz na chwilę, pójdę się przebrać.

- Niech pani nie robi sobie kłopotu. Jak już powiedziałem, w tym stroju podoba mi się pani najbardziej.

- Ale nie podobam się sobie — odparła Linda porywczo.

W drzwiach sypialni odwróciła się.

- Powinam chyba zaproponować panu coś do picia. Ma pan ochotę na kawę lub herbatę?

- Świetny pomysł — stwierdził. — Gdzie jest kuchnia? Zanim się pani przebierze, przygotuję kawę.

Wskazała mu drogę, nie zadając sobie trudu, by powiedzieć, gdzie co stoi. Niech poszuka!

Gdy znalazła się sama, zaczerpnęła przede wszystkim głęboko powietrza. Peter Markham był niewątpliwie najdziwniejszym facetem, jakiego kiedykolwiek spotkała. Najpierw pojawia się w lesie, potem w jej firmie, a na końcu w jej własnym mieszkaniu — zawsze w sposób zupełnie nieoczekiwany!

- Co by tu włożyć? — zastanawiała się. Strój, który miała na sobie poprzednio, był odpowiedni na wieczór w restauracji, teraz już niestety nie. Ubrała się więc w dżinsy i zwykłą podkoszulkę. Stopy pozostawiła gołe — w końcu jest u siebie w domu i żadnych gości na dzisiaj nie zapraszała! Przechodząc obok lustra, pożałowała, że tak szybko zmyła makijaż. Było już za późno nawet na muśnięcie ust odrobiną szminki. Peter pomyślałby, że chce mu się podobać, a tego wołała uniknąć.

Kiedy wróciła do pokoju, pachniało w nim świeżo zaparzoną kawą. Peter stawiał właśnie na stole dwie filiżanki, cukiernicę i dzbanuszek z mlekiem.

- Już? — spytał, przyglądając się dziewczynie. — Jestem rozczarowany, myślałem, że zjawi się pani w przezroczystym negliżu.

- A więc się pan pomylił — stwierdziła Linda chłodno. — Widzę, że znalazł pan wszystko. Ja piję kawę bez dodatków.

- W takim razie cukier i mleko nie będą nam potrzebne — stwierdził, odnosząc je z powrotem do kuchni i stawiając na swoim miejscu.

Zachowuje się, jakby był u siebie, pomyślała z irytacją. Usiadła na kanapie. Czowała niepokój i zdenerwowanie — cała ta sytuacja zaczynała ją przerastać. Po wszystkich

przygotowaniach do umówionej kolacji, po gorzkim zawodzie, jaki przeżyła, musiała teraz siedzieć, udając dobry humor i czekać na kolejne niespodzianki.

- Mam nalać? — spytała drwiąco i przesunęła się w najdalszy róg kanapy.

- Tak, proszę — odparł Peter, siadając tuż obok. Ręce Lindy drżały nieco, gdy napelniała filiżanki. Mężczyzna podziękował i sięgnął po jedną z nich.

- Dobra kawa, panno Parker — powiedział, wypijając pierwszy łyk.

- Cieszę się. Przekażę służbie, że jest pan zadowolony.

- Widzę, że posłuchała pani mojej rady, jeśli chodzi o fryzurę. — Peter dotknął kosmyka jej włosów.

Linda odsunęła się.

- Fryzurę? Co pan ma na myśli?

- W tamtej wyglądała pani jak pedantyczna belferka. — Uśmiechnął się. — Powinna pani nosić rozpuszczone włosy, nalegam na to. Od dziś proszę czesać się tak na każde nasze spotkanie. Jak dziewczyna myjąca się w górskim źródleku...

- Czy nie mieliśmy rozmawiać o sprawach służbowych?

- Właśnie to robimy. Dziewczyna pod wodospadem należy przecież do naszych spraw służbowych.

Peter spojrział z rozbawieniem.

- Pani jest zdenerwowana, Lindo? Dlaczego?

- Nie, może trochę, to z powodu zlecenia.

- James powiedział mi, że rozmowa wypadła bardzo pozytywnie.

Zgadza się, ale ostateczna decyzja zależy przecież od pana.

Linda popatrzyła w jego stalowoszare oczy, które nie zdradzały żadnych uczuć, i miała nadzieję, że jej wyraz twarzy jest równie nieprzenikniony.

- Więc jak? Odstawił filiżankę.

- Pewnie sądzi pani, że przyszedłem tu w konkretnym celu! Boi się pani, że piękne umowy z koncernem „Wspólne Produkty” zawierane są tylko poprzez łóżko, co?

- Nie, to mnie nie niepokoi. Potrafię uważać na siebie.

- Nauczyła się pani tego w Ohio?

- Nie, tutaj. Nowy Jork to zbiorowisko cwanych uwodzicieli.

- Widzę, że ma pani w tej dziedzinie spore doświadczenie.

- Wystarczające, by być ostrożną — skłamała.

- Jeśli chodzi o mnie, mogę panią uspokoić. Nie uwodzę swoich podwładnych i nie mieszam seksu ze sprawami zawodowymi. Co innego, gdybym odwiedził panią prywatnie, wtedy oczywiście nie mógłbym za nic ręczyć.

- Zdjął mi pan kamień z serca — stwierdziła z sarkazmem Linda.

Peter zrobił się nagle poważny i przez następne pół godziny mówił wyłącznie o szamponie i stronie technicznej całej kampanii. Na kilka pytań Linda nie umiała odpowiedzieć i poprosiła, aby mogła najpierw omówić te problemy ze swoimi współpracownikami.

Gdy niepewność stała się już nie do zniesienia, dziewczyna zapytała prosto z mostu:

- Czy podjął pan decyzję? Otrzymam zlecenie? Usiłowała powiedzieć to możliwie beznamietnym tonem, ale nie bardzo się jej udało.

Peter popatrzył na nią tajemniczym wzrokiem i odrzekł spokojnie:

- Owszem, ma je pani. Tak wiele dla pani znaczy to zadanie, Lindo?

Skinęła głową.

- Dziękuję. To największa szansa, jaką kiedykolwiek dostałam. Przyrzekam, że nie będzie pan żałował!

- O żalu nie ma w ogóle mowy. Wiem już nawet, gdzie zrobimy zdjęcia! Zapamiętałem wodospad z pani szkicu. Znam pewne ukryte miejsce, w którym znajduje się taki sam.

- Ależ on był tylko wytworem mojej wyobraźni!  
- Wierzę, bo ów zakątek znam tylko ja. Zabiorę tam panią w wolnej chwili.  
Nie będzie kłopotów z uzyskaniem zezwolenia na kręcenie tam filmu?  
- Nie sądzę. Zajmę się tym, oczywiście, jeśli miejsce się pani spodoba. Od tej chwili kieruje pani całym przedsięwzięciem.

Linda była uszczęśliwiona.

- Napije się pan jeszcze kawy? Właściwie przydałaby się butelka szampana, żeby uczcić tę okazję!

- Szampan?

Wzrok Petera stał się nagle twardy, a szare oczy przypominały ocean przed burzą.

- Zapewne adoratorzy zarzucają panią szampanem, kawiozem i całym tym kramem modnym w snobistycznych kręgach, w jakich się pani obraca.

Linda z zaskoczeniem przyjęła tę zmianę nastroju i nie wiedziała, czym ją tłumaczyć.

- Wypiłam w życiu jeden lub może dwa kieliszki szampana — odrzekła. Nie chciała się przyznać, że właściwie wcale nie lubi tego trunku, który strzela bąbelkami w nos i pobudza ją do kichania.

- Dziwi mnie — powiedział Peter, znów łagodnym tonem — że dziewczyna, która tak kocha wielkie miasta, potrafi malować wspaniałe, prawdziwe obrazy przyrody. Jedno nie pasuje do drugiego.

- Mówiłam już, że mam bogatą wyobraźnię.

- Ma pani nie tylko to.

Linda tryskała humorem, po tym, jak dowiedziała się, że osiągnęła swój cel. Była wdzięczna Peterowi, że dał jej szansę, bez względu na to, jakie motywy nim kierowały.

On zaś patrzył w zadumie przed siebie.

- Tej nocy, gdy panią pocałowałem, myślałem, że jest pani inna niż wszystkie kobiety, które znam.

- Bo jestem inna!

- Znane mi kobiety — mówił dalej Peter, jakby sam do siebie — są płytkie, powierzchowne i egoistyczne. Nie spotkałem w Nowym Jorku ani jednej, którą interesowałoby coś więcej niż jej praca, jej szafa z ciuchami i rozrywki w sobotni wieczór.

- Pan jest potwornie cyniczny, Peter!

- Nie bez powodu. Ale tej nocy uwierzyłem, że znalazłem wreszcie kogoś innego, kogoś, kto posiada duszę! Kiedy zaś zobaczyłem panią dziś rano, ubraną jak manekin ze sklepowej wystawy, ambitną i wyniosłą, pomyślałem, że mam przed sobą wierne odbicie wszystkich tych pozbawionych skrupułów kobiet, jakie znam aż nadto dobrze. Z taką osobą nie mógłbym mieć nic wspólnego. Na samą myśl dostałem gęsiej skórki.

Linda miała uczucie, że każde słowo wypowiedziane przez Petera, pozostawia ranę w jej sercu. Za pomocą kilku zdań zniszczył wszystkie przyjazne uczucia, które właśnie zaczęły w niej kiełkować. — Niech pan się niepotrzebnie nie podnieca — powiedziała z wściekłością — Nie mam ani ochoty, ani czasu na romanse, a jeśli zapragnęłabym w kimś się zakochać, pan byłby ostatnim mężczyzną na świecie, którego wzięłabym pod uwagę. Widziałam już wiele aroganckich typów, ale są niczym wobec pana!

- Co? Uważa pani, że jestem arogancki?

- O, tak.

- A pani nic do mnie nie czuje?

- Absolutnie nie!

Peter z głośnym brzękiem odstawił filiżankę na stół i zanim Linda zdążyła się poruszyć, chwycił ją za ramiona. Zaczął gładzić delikatnie jej kark i włosy.

- A teraz, nic nie czujesz, kiedy to robię?

- Nic!

- A teraz? — zapytał, głaszcząc ją i powoli przyciągając do siebie.

Linda spojrzała na niego z przestraszonym wyrazem twarzy, bo jej ciało reagowało na ten uścisk w sposób zupełnie nieprawdopodobny.

- A jeśli cię pocałuję? — wyszeptał. — Dalej nie będziesz nic czuła?

Oddech Petera musnął miękko jej policzki, a jego wargi błędnymi czuły się po twarzy dziewczyny, zanim dotarły do ust. Przyciągnął ją mocniej do siebie i oboje utonęli w dzikim, namiętnym pocałunku.

Uwaga, niebezpieczeństwo! — krzyczało coś w Lindzie. Brakowało jej jednak siły, by się bronić. Usta Petera miały jakiś magiczny czar. Jego pocałunek sprawiał, że w żyłach czuła gorące fale krwi, które rozpały jej tęsknotę i pożądanie. Nigdy jeszcze nie zdarzyło jej się nic podobnego, nawet wtedy, w górach. Wówczas również ogarnęła ją namiętność, ale pozostała jej przynajmniej część własnej woli. Teraz nie była zdolna do żadnej myśli. Nie próbowała nawet przeciwstawić się Peterowi, bo nie mogło istnieć nic silniejszego niż pragnienie bliskości tego mężczyzny.

Linda nie zauważyła nawet, kiedy jej ręce objęły Petera za szyję. Wędrowały teraz po czarnych, kędzierzawych włosach, gładziły skórę i wreszcie wpiły się w jego marynarkę. Pocałunki stawały się coraz bardziej pełne pożądania, a ona była już samym oddaniem w tym cudownym szale, jaki ogarnął ich oboje.

Zgrzyt klucza w zamku sprawił, że nagle odskoczyli od siebie. Linda potrzebowała kilku długich sekund, by wrócić do rzeczywistości i móc przynajmniej udawać, że zachowuje się normalnie.

Cecylia stała już w przedpokoju i patrzyła na nich z uśmiechem zażenowania.

- O, przepraszam — powiedziała. — Nie chciałabym przeszkadzać.

Trochę nienaturalnym krokiem podeszła do drzwi swojej sypialni.

Lindzie udało się wreszcie odzyskać zmysły. Zerwała się z kanapy.

- Cecylia, zostań!

Przyjaciółka odwróciła się i zmierzyła badawczym wzrokiem Petera, który nie zadał sobie wcale trudu, by wstać. Siedział dalej na kanapie, zadowolony i całkiem na luzie. Linda nienawidziła go za to, tak samo bezgranicznie, jak przed chwilą pożądała.

- Chciałabym ci przedstawić Petera Markhama. Peter, to moja współmieszkanca, Cecylia Jones.

- Cześć — powiedziała słodkim głosem Cecylia.

- Proszę siedzieć, nie chcę przerywać waszej ważnej „narady”.

- Dlaczego? — zawołała Linda porywczo. — Nie przeszkodziłaś nam w żadnej ważnej naradzie.

- Rzeczywiście nie — potwierdził Peter drwiąco.

- Właśnie miałem wyjść.

- W takim razie — dobranoc!

Ton głosu Lindy był zimny i nieprzyjazny.

Peter podniósł się i wyglądało na to, że znów jest górą. Przyjrzał się obu dziewczynom jakby porównując je, podszedł do drzwi i odwrócił się.

- Dobranoc, dziękuję za kawę.

Linda patrzyła, jak drzwi się z nim zamykają. Wzdrygnęła się, kiedy stuknęły.

- Kto to był? — spytała zaciekawiona Cecylia. Najwyraźniej nie poznała Petera w tym wydaniu, choć jako członkini „Klubu Miłośników Przyrody” musiała go przecież znać. Linda nie miała jednak ochoty jej teraz oświecać.

- Co się stało między wami? — bombardowała dalej Cecylia. — Przed domem stał najbardziej fantastyczny wóz, jaki kiedykolwiek widziałam, zagraniczny model, kosztował pewnie majątek. A portier powiedział, że facet od tego samochodu pojechał windą do nas. Kto to jest?

- Nikt! — zawołała Linda. — Zupełnie nikt.  
I nagle wybuchnęła płaczem

## 6

Linda była zmęczona, ale opanowana, kiedy następnego ranka przekroczyła próg Firmy Addison i Gilbert. Wylała się już w ramionach Cecylii, a potem spędziła niespokojną, prawie bezsenność noc. Teraz bała się jedynie, że straci wymarzone zlecenie. Wchodząc do swego pokoju, spojrzała od razu na biurko, czy nie leży tam dla niej wiadomość. Biurko wyglądało jednak tak samo, jak zostawiła je poprzedniego dnia.

Usiadła więc i zabrała się do rysunków. Po chwili znów wstała i poszła do holu, by nalać sobie z automatu filiżankę kawy. Pijąc ciemną, niezbyt smaczną ciec, zastanawiała się, co też wstąpiło w nią minionego wieczoru, że tak dziwnie się zachowała. A gdyby Cecylia nie wróciła — co stałoby się wówczas?

Na te trudne pytania, nie potrafiła znaleźć odpowiedzi, podobnie, jak nie istniał żaden dobry patent na zlikwidowanie problemów, które nagromadziły się teraz w jej sprawach zawodowych. Peter Markham, prosty człowiek z gór i elegancki szef koncernu w jednej osobie, był zagadką nie do rozwiązania.

Wiedziała już, że ten mężczyzna pociąga ją jak nikt dotąd, ale jego arogancja i władcza osobowość wywoływały silny sprzeciw. Czy można kogoś nienawidzić i jednocześnie pragnąć? Zgodnie z doświadczeniem Lindy coś takiego nie miało prawa się zdarzyć i dziewczyna czuła się zagubiona jak nigdy jeszcze. Pocałunki Petera sprawiały, że "stawała się bezwolna i spragniona uczucia, ale jego bezczelne zachowanie budziło w niej nieufność i gniew.

Linda wyrzucała sobie, że tak dalece dała się ponieść emocjom.

- Głupio zrobiłam — stwierdziła. — Powinnam była od razu pokazać mu drzwi i wyjaśnić, że sprawy służbowe omawiam wyłącznie w biurze.

Pomyślała, że gdyby zjawił się w restauracji, potrafiłaby z pewnością chłodno przeciwstawić się i jemu, i uczuciom które w niej budził. To niespodziewane wtargnięcie do mieszkania wyprowadziło ją z równowagi i ustawiło od razu na straconej pozycji. Dlatego zachowała się tak idiotycznie!

Pograżona w myślach, bawiła się papierowym kubkiem, patrząc przed siebie ponuro. Nie zauważyła, że do pokoju wszedł Carson Fitzhugh.

- Lindo! — usłyszała jego okrzyk. — Wszędzie pani szukam!

Spłoszona, zerwała się na równe nogi. Dotychczas nie miała zwyczaju oddawać się marzeniom w godzinach pracy.

- Dzień dobry, panie... Fitzhugh — wyjąkała. — Ważnie piłam kawę. Ja... ja...

Poklepał ją po plecach.

- Coś nie tak? Wygląda pani na przygnębioną.

- O nie, czuję się bardzo dobrze. Dlaczego mnie pan szukał?

Linda nabrała głęboko powietrza i czekała na straszny wyrok, który niewątpliwie zaraz zapadnie.

- Mam dobre wieści. Otrzymuje pani własne biuro. Pomieszczenie jest dość małe, ale chyba nie będzie pani rozczarowana? Wszystko stało się tak szybko... W przyszłości znajdziemy dla pani jakiś większy pokój.

- Własne biuro? — spytała i od razu zrobiło jej się lepiej. A więc Peter jeszcze nie skontaktował się z Fitzhughem, by oznajmić, że odbiera jej kierowanie projektem. Nie wątpiła, że wcześniej czy później to nastąpi, ale na razie chciała cieszyć się swoim krótkotrwałym awansem.

Podążyła za szefem, mijając jego olbrzymi gabinet i zatrzymując się przed drzwiami na końcu korytarza. Fitzhugh otworzył je i ze znaczącym ukłonem przepuścił Lindę.

Biuro było rzeczywiście małe, ale spodobało jej się od razu. Stało w nim biurko z telefonem i intercomem, wygodny fotel pokryty imitacją skóry i kilka zwykłych krzeseł. Na podłodze leżał dywan w odcieniu brązu, dobrany kolorem do kremowych ścian a wielkie okna wpuszczały mnóstwo światła.

Linda wyjrzała przez jedno z nich. W dół, trzydzieści trzy piętra niżej, rozciągała się wąska ulica. Pełna była pordzewiałych pojemników na śmieci i nigdy chyba nie docierał do niej ani jeden promień słońca. Ale Lindę to nie obchodziło. Wreszcie miała pokój z dużymi oknami! Coś wspaniałego!

- Na początku będzie pani musiała zadowolić się sekretarką pracującą również dla innego kolegi - powiedział Fitzhugh usprawiedliwiająco.

- Sekretarka? — Linda z trudem kryła podniecenie. — No jasne, będzie mi przecież potrzebna — dodała po chwili takim tonem, jakby posiadanie własnej sekretarki było czymś zupełnie oczywistym. Miała cichą nadzieję, że upłynie trochę czasu, zanim Peter Markham zwolni ją z obowiązków.

- Przyślę zaraz praktykanta, który pomoże pani w przeprowadzce — powiedział szef.

Śluchała go tylko jednym uchem, bo w myślach urządziła już biuro po swojemu — z obrazami na ścianach i kwiatami w oknach.

Minęły dwie godziny, zanim przeniosła się z wszystkimi rzeczami do nowego królestwa. Zagłębiła się w fotelu i było jej coraz ciężiej na sercu. W każdej chwili mógł zadzwonić telefon, a wtedy sen pryśnie jak bańka mydlana

- Ach, nie mogę tak siedzieć i czekać, aż mnie wywalą — powiedziała głośno. — Do roboty, Lindo!

Resztę dnia spędziła opracowując pomysły reklamowe dotyczące szamponu „Cud”. Wezwała współpracowników i aż do wieczora nie pozwoliła sobie ani na chwilę przerwy.

Była już godzina osiemnasta, a telefon wciąż milczał. Linda uprzątnęła papiery i pomyślała, że jej obawy są być może nieuzasadnione. Bardziej prawdopodobne wydawało się jednak, iż Peter specjalnie trzyma ją w niepewności, by za chwilę znów pokazać się w roli wszechwładnego szefa koncernu...

W domu próbowała otrząsnąć się z depresji, ale widok kanapy przypomniał jej szczegóły minionej nocy. Poczula ukłucie w sercu.

Cecylia wróciła dopiero po dwudziestej i opadła z jękiem na krzesło.

- Co za obrzydliwy typ! Pozwoliłam koledze z pracy zaprosić się na kolację i teraz, w taksówce, o mało mnie nie zgwałcił. Mężczyźni są okropni!

- Komu to mówisz — roześmiała się Linda.

- Faktycznie, masz przecież własne problemy. Jak było dziś w firmie?

- Cudownie! Dostałam własne biuro! Opisała przyjaciółce swój nowy pokój i zaczęła opowiadać, jak go urządzi.

- Cieszę się razem z tobą. Lindo. A bałaś się już, że twój projekt przepadnie.

- Ciągle jeszcze się boję — odparła z przygnębieniem. — Ten facet rozkoszuje się po prostu swoją władzą.

- A może wcale nie? Po tym, co mi mówiłaś, przypuszczam, że czuje do ciebie coś więcej, niż myślisz.

- Bzdura! Zawsze mnie tylko obrażał i wyśmiewał. On mnie zwyczajnie nie znosi.

- Komu chcesz wmówić takie rzeczy? — spytała Cecylia z uśmiechem.

- Ależ to prawda!

Przyjaciółka spojrzała na nią z boku.

- Znam cię, Lindo, i wiem, że nigdy nie pocałowałabyś mężczyzny, którego nie kochasz. Na to jesteś zbyt pruderyjna.

- Cecylia! — zawołała rozzłoszczona.

- Przepraszam, nie bierz wszystkiego tak poważnie. Nigdy jeszcze nie widziałam cię takiej wzburzonej jak zeszłej nocy i myślę, że coś się za tym musi kryć.

- Owszem, to mianowicie, że Peter Markham jest złośliwym, mściwym facetem, pozbawionym taktu i poczucia moralności!

Gdy to mówiła, wiedziała, że gra nie fair. Peter miał przecież zasady moralne, tyle że nie w kontaktach z nią. Wobec niej zachowywał się jak pan i władca.

Cecylia podniosła swoje starannie wyskubane brwi i wzruszyła ramionami.

- Skoro tak sądzisz...

Reszta tygodnia minęła bez znaczących wydarzeń i Linda zaczęła nieśmiało wierzyć, że Peter jednak nie chce zerwać z nią umowy. Rzuciła się w wir pracy i wszystko, nie licząc zwykłych trudności natury technicznej, udawało jej się znakomicie. W nocy, kiedy obracała się bezsenność na łóżku, myślała o Peterze. Czuła się wtedy tak, jakby tkwiły w niej dwie różne osoby. Pierwsza z nich była smutna, bo tęskniła za tym mężczyzną, druga zaś cieszyła się, że nie pcha się już do jej życia i nie niszczy odbudowanego z takim trudem spokoju.

Linda zerwała zupełnie kontakty z grupą swoich znajomych, chociaż przed ową, zrzadzoną najwyraźniej przez los, wycieczką wydawali jej się tak ważni. Mówiła sobie, że nie ma czasu, by zarywać noce i flirtować z facetami, którzy są co prawda bardzo sympatyczni, ale w gruncie rzeczy nic dla niej nie znaczą. Chciała wstawać rano świeża i wypoczęta, aby móc bez przeszkód zająć się pracą nad zleconym projektem, aż do chwili, gdy zostanie ona uwieńczona sukcesem. Wówczas znów będzie można oddawać się urokom towarzyskich spotkań. Jej odsunięcie się od świata, wmawiała sobie dziewczyna, nie ma absolutnie nic wspólnego z Peterem Markhamem. Wcale nie jest tak, że w porównaniu z nim inni mężczyźni wypadają blado i nieciekawie.

W poniedziałek, po kolejnej naradzie, Linda postanowiła wziąć na spytki swojego szefa. Wyszła przed nim z sali i zatrzymała się pod drzwiami.

- Panie Fitzhugh — zaczęła z wahaniem. — Czy miał pan jakieś wieści od prezesa Markhama?

- Od pana Markhama? Nie. Lindo, nie spodziewałem się od niego żadnych wiadomości. Dlaczego pani pyta?

- Och, nic ważnego. Pomyślałam tylko, że może chce wiedzieć, jak przebiegają prace nad kampanią reklamową...

- Prezes „Wspólnych Produktów” jest człowiekiem bardzo zajęтым — pouczył ją Fitzhugh. — To, że przyszedł na nasze pierwsze zebranie, było już czymś niezwykłym. Za kampanię odpowiada pan James Clinton. Myślałem, że pani wie?

- Tak, tak, oczywiście. Uzgodniłam wszystko z panem Clintonem, wydaje się, że jak na razie jest bardzo zadowolony.

- Podobnie jak ja. Proszę mi jeszcze powiedzieć: kiedy będziemy mogli rozpocząć zdjęcia? Pomyślała pani już o modelce?

Linda wyjaśniła, że kandydatki mają się zjawić jutro i pożegnała się szybko, zanim szef zdążył spytać o miejsce kręcenia filmu. Peter już je przecież wybrał, jeśli więc się niebawem nie zgłosi, jej, Lindzie nie pozostanie nic innego, jak do niego zadzwonić. Na samą myśl o tym ogarnął ją lęk.

Minął wtorek i środa. Zaangażowano modelkę, śliczną jak obrazek dziewczynę, Carol Jurgens. Linda, rozmawiająca z kandydatkami, czuła się wśród tylu pięknych kobiet jak niepozorna, szara myszka. Carol była bardzo wysoka, smukła i miała błyszczące, orzechowe oczy. A że w dodatku odznaczała się inteligencją i ujmującym sposobem bycia, Lindzie udało

się pozbyć uczucia zazdrości i zaczęła się cieszyć, że film z tak atrakcyjną dziewczyną w głównej roli okaże się z pewnością sukcesem.

Teraz pozostało już tylko ustalenie miejsca. W czwartek zdecydowała się zadzwonić do Petera.

- Joanne — powiedziała do sekretarki, którą dzieliła się z jednym z asystentów dyrektora — może mnie pani połączyć z prezesem Markhamem?

- Oczywiście, panno Parker.

Linda podniosła słuchawkę i zaczęła z uwagą oglądać paznokcie. Czy Peter będzie rozmawiał z nią osobiście? A może wyręczy się którymś ze swoich pracowników?

Wzięła głęboki wdech, czekając, aż zabrzączy intercom. Wreszcie rozległ się ten dźwięk.

- Tak? — spytała obojętnym tonem, nie zwracając uwagi na łomotanie własnego serca.

- Mam na czwartej linii pana Markhama.

- Dziękuję, Joanne. Linda nacisnęła guzik.

- Halo, Peter?

Musiała zebrać wszystkie siły, by mówić spokojnie.

- Tu panna Mohnson, sekretarka prezesa Markhama — powiedział zimny damski głos. Wiek jego właścicielki trudno było określić, ale Linda od razu wyobraziła ją sobie jako kobietę atrakcyjną i pełną seksu.

- Pan Markham zaraz podejdzie. Zaczeka pani?

- Naturalnie — odparła, myśląc sobie: to właśnie do niego podobne, teraz każe mi czekać godzinami!

Spojrzała na zegarek. Sekundnik poruszył się czterdzieści razy.

- Linda! — głos Petera zadźwięczał jej donośnie w uchu. Zaskoczyła ją reakcja własnego serca: waliło jak dzikie, na przeróżnych tonach. — Cóż za miła niespodzianka! Myślałem już, że razem ze swoją współmieszkaną wstąpiła pani do marynarki. W mundurze wyglądałaby pani tak samo dobrze, jak jej przyjaciółka...

- Ach, Cecylia? Ona lubi się przebierać. Uwielbia zwariowane stroje.

- Naprawdę? Zadzwoń pani do mnie, żeby podyskutować o gustach Cecylii?

- Oczywiście, że nie — odparła gniewnie. — Chodzi mi o pewną sprawę służbową. Wspominał pan, że zna miejsce, gdzie moglibyśmy nakręcić film.

- Ma pani na myśli wodospad?

- Tak...

- Byłby idealny, ale decyzja należy do pani. Proszę posłuchać — teraz nie mogę rozmawiać, kilkanaście osób siedzi w moim biurze i chce przedstawić mi swoje pilne sprawy. Spotkam się z panią...

Zrobił przerwę. Linda domyśliła się, że spogląda na terminarz.

- ... o wpół do szóstej dziś po południu, na rogu Trzydziestej Ósmej i Madison. Będę miał tylko pół godziny, proszę się więc nie spóźnić.

- Peter!

- Zanotowała pani?

- Peter...

- Trzydziesta Ósma i Madison, o siedemnastej trzydzieści.

Linda osłupiała, słysząc trzask w telefonie. Odłożył już słuchawkę! To niesłychane, nie do pojęcia! Co za arogancki typ! Wydaje mu się, że ona rzuci wszystko i polecą na każde wezwanie. Bezwstydnie wykorzystywał swoją pozycję prezesa, od którego zależała jej przyszłość, wiedząc, że Linda nie ma żadnej możliwości obrony.

Przez całe popołudnie wahała się między chęcią dania Peterowi kosza, na co dawno już zasłużył, a rozsądkiem, podpowiadającym jej, że głupio byłoby znów rozzłościć potężnego szefa „Wspólnych Produktów”.

O siedemnastej sprzątnęła papiery z biurka i poszła do łazienki. Makijaż był bez zarzutu i Linda stwierdziła, że po dniu wyteżonej pracy prezentuje się wciąż olśniewająco. Miała na sobie uszytą z indyjskiej bawełny szeroką, zieloną spódnicę, w której wyglądała bardzo kobieco, białą, zapiętą pod szyję bluzkę i sandały na wysokich obcasach.

Odgarnęła włosy z czoła i spięła je na skroniach dwoma grzebykami z zielonego nefrytu. Umalowała usta, wzięła torebkę i zjechała windą na parter. Skinęła uprzejmie głową portierowi i wyszła na ulicę.

Trzydziesta Ósma i Madison. Osobliwe miejsce spotkania, pomyślała. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Peter umówił się z nią na rogu ulicy. Było to zwariowane i pasowało do jego ekstrawaganckiego stylu bycia.

Świetnie nadawałby się na partnera Cecylii, stwierdziła Linda, ale pomysł ów nie spodobał jej się wcale i natychmiast go odrzuciła.

Mijając nieliczne bloki mieszkalne, przyglądała się okolicy, jakby widziała ją po raz pierwszy. W tej części miasta znajdowały się niemal wyłącznie biurowce, a także kilka sklepów. Przeszła obok delikatesów, kwiaciarni i supermarketu. Na chodnikach tłoczyli się ludzie wracający po pracy do swoich domów. Linda patrzyła na twarze przechodniów i wyobrażała sobie różne historie ich życia, których nigdy nie pozna. Przyspieszyła kroku. Było już prawie wpół do szóstej, a przed nią jeszcze parę metrów drogi.

Na rogu Trzydziestej Ósmej i Madison zobaczyła policjanta, dwóch rozmawiających ze sobą nastolatków i grzebiącego w śmietniku włóczęgę. Petera ani śladu.

Ucieszyła się, że przyszła pierwsza. Udowodniła tym samym, iż jest punktualna i można na niej polegać. Stała pod płóciennym daszkiem sklepu z artykułami sportowymi, spoglądając z niezdecydowaniem na wystawę. Lekki wiatr unosił spódnicę dziewczyny, odsłaniając jej szczupłe nogi.

Nagle ktoś zastukał od wewnątrz w szybę.

Linda z przestrachem uniosła głowę i spostrzegła Petera, który pokazywał jej, że ma wejść do środka osłupiała kompletnie. Narada służbowa w sklepie? Tego jeszcze nie przerabiała! Spojrzała niepewnie, całkiem zbита z tropu, i podeszła do drzwi.

- Jest pani wreszcie — niecierpliwił się Peter.

- Trochę późno. Niechże pani wchodzi.

- Późno? — zaprotestowała. — Byłam co do minuty. A cóż to mamy teraz w planie? Kupno rękawic do baseballu czy piłek tenisowych?

Mężczyzna wziął ją za ramię i poprowadził na sam koniec sklepu, zatrzymując się przed rzędem krzeseł w stoisku z obuwem.

- To jest pani, o której mówiłem — zwrócił się do ekspedienta. — Lindo, który numer butów pani nosi?

- Co, proszę?

- No dobrze, niech pani ściąga sandały. I tak trzeba będzie wziąć miarę.

Linda patrzyła wściekłym wzrokiem na Petera, podczas gdy sprzedawca klęczał już przed nią z centymetrem, czekając cierpliwie, aż zdejmie obuwie.

- Proszę się pospieszyć — przynaglał Peter.

- Mówiłem przecież, że mam mało czasu.

- Myślałam, że spotkaliśmy się, żeby omówić sprawę filmu. Nie przyszłam tu przymierzać buty!

Roześmiał się.

- Możemy rozmawiać, kiedy pani będzie boso. Już to przecież robiliśmy.

Linda zaczerwieniła się.

- Niech pani zdejmie sandały — powtórzył rozkazującym tonem.

Postanowiła być posłuszna. Kaprysy tego faceta przerażały ją. Ekspedient czekał z rozbawioną miną. Linda pomyślała, że pewnie zna Petera i ceni go jako dobrego klienta. Zaczęła powoli rozwiązywać rzemyki sandałów.

- A wodospad? — mruknęła.

- Ach, tak. Może go pani zobaczyć w najbliższą sobotę. Zakładam, że ten termin pani pasuje?

- A jeśli nie? — spytała porywczo.

- To zmieni pani swoje plany. Sprawa jest pilna i należy do pani obowiązków zawodowych.

Jego oczy błyszczały szelmowsko, a Linda poczuła, że znów z niej zakpiono. Zignorowała więc ostatnie słowa Petera i poświęciła całą swoją uwagę ekspedientowi, który właśnie skończył mierzyć jej stopy.

- Numer trzydziesty siódmy, szerokość A — najmniejsza — powiedział.

- Czuję się jak Kopciuszek — stwierdziła Linda. Peter znów się zaśmiał, a sprzedawca zniknął gdzieś na zapleczu.

- Przyjadę po panią o dziewiątej. Proszę być już gotowa — zażądał Peter.

- Gdzie znajduje się ten wodospad?

- Niezbyt daleko stąd — odparł krótko.

Ekspedient wrócił, trzymając pod pachą wielkie pudło. Linda obserwowała z mieszaniną ciekawości i odrazy, jak wyciąga z niego parę zgrzebnych pionierek.

Peter skinął z zachwytem głową.

- Powinny być dobre. Proszę przymierzyć.

- Co? — spytała przerażona. — To najbardziej obrzydliwe trepy, jakie kiedykolwiek widziałam.

Buty były z szarej skóry, miały gumowe, rzeźbione w rowki podeszwy oraz grube, czarne, wiązane aż do kostek sznurowadła.

- Brzydkie, ale za to praktyczne. Przydadzą się pani w sobotę.

- Nad wodospadem?

- Gdzieżby indziej. Nie zaciągnę pani znów na Indiańską Ścieżkę, za słaby jeszcze z pani piechur.

- Potrzebne też będą skarpety — zauważył ekspedient, zwracając się do Petera, zupełnie jakby Linda była malutkim dzieckiem, które przyszło z tatą na zakupy.

- Ma pan jakieś?

- Oczywiście, sir. Mamy wszystko, czego trzeba do uprawiania turystyki — odparł i pobiegł po żądany towar.

- Czy ten sklep też należy do pańskiego koncernu? — zapytała ostrym tonem Linda.

- Nie — odrzekł Peter beztrąsko. — Ale bardzo często tu kupuję.

Sprzedawca wrócił z parą grubych, wełnianych skarpet, którą wręczył zaraz dziewczynie. Wzięła je z wahaniem, trzymając ostrożnie między kciukiem a palcem wskazującym, jakby bała się pobrudzić.

- Co mam z tym zrobić?

- Włożyć, naturalnie.

- To przecież głupie — stwierdziła, powstrzymując śmiech. Pochyliła się jednak i wciągnęła skarpety.

- Teraz buty! — polecił Peter.

Linda wsadziła jedną nogę w ciężki, niezgrabny trzewik i spojrzała w górę.

- Zadowolony? — wysyczała.

Peter odwrócił się w stronę ekspedienta.

- Bierzemy. Proszę zapisać wszystko na mój rachunek.

Pożegnał sprzedawcę skinieniem ręki i ukląkł obok dziewczyny, by pomóc jej zasnurować buty.

- Dobrze. Teraz proszę wstać i pochodzić trochę. Sprawdzimy, czy są wygodne.

Linda zrobiła z wahaniem kilka kroków. Wydawała się sobie śmieszna i niezdarna. Doczłapała do lustra i spojrzała na swoje odbicie. W powiewnej letniej spódnicy i groteskowych chodakach wyglądała zupełnie jak kłown. Wybuchnęła głośnym śmiechem.

- Podobają się pani? — chciał wiedzieć Peter. Linda wykrzywiła się.

- Są bajeczne. Zawsze pragnęłam mieć właśnie takie. Moje wymarzone buty! Zapoczątkuję w nich nową modę.

- Proszę zapomnieć o ich wyglądzie! Jak się pani w nich czuje?

Jakbym została powołana do armii i miała przed sobą perspektywę dziesięciokilometrowego marszu w ulewnym deszczu.

- Dobrze. Tak właśnie powinna się pani czuć.

Uśmiechnął się, a ona odpowiedziała mu tym samym.

- W takim razie wszystko już załatwiliśmy. Sobota, dziewiąta rano, O.K.?

- Tak jest. Nie chcę pana dłużej zatrzymywać. Linda usiadła i zaczęła rozwiązywać sznurowadła.

- Stop! Co pani robi? — wykrzyknął Peter.

- Nie wolno zdejmować butów! Musi się pani do nich przyzwyczaić, do soboty zostało mało czasu. Proszę wrócić w tych pionierkach do domu, a tam ponosić je jeszcze przez chwilę. Jutro też. W sobotę powinna być pani w dobrej formie.

- Co to znowu za żarty? Chyba pan nie sądzi, że wyjdę tak na ulicę!

- Musi pani, jeśli nie chce poranić sobie pięt, jak ostatnim razem.

Twarz Petera miała tak rozradowany wyraz, że dziewczyna natychmiast zrozumiała, przyczynę tej wesołości. Na pewno wyobrażał sobie, jaka to będzie sensacja, kiedy Linda, niczym żołnierz w pełnym ekwipunku, pomaszeruje w swoich nowych butach przez centrum miasta.

- Pęcherze i rany — powiedział złowieszczo. — Pamięta pani, jak to boli? Z trudem przełknęła ślinę.

- Tak. Ma pan rację. Pójdę do domu w pionierkach. Co mnie w końcu obchodzą ludzie? Niech się śmieją.

- Bardzo rozsądnie — pochwalił. — Teraz muszę już pędzić. A więc do soboty.

Wyszedł ze sklepu i nie oglądając się, wsiadł do srebrnego mercedesa, w którym czekał jego kierowca.

Linda włożyła do torebki sandały i nagle uświadomiła sobie, że nie podziękowała Peterowi za pionierki i skarpety. Ale prezent! Znow musiała się roześmiać. Inni mężczyźni dawali jej kwiaty, czekoladki, perfumy albo biżuterię. Inni, lecz nie Peter Markham!

Spojrzała na swoje niezgrabnie wyglądające nogi i potrząsnęła głową. Następnie podziękowała sprzedawcy i ostrożnie, aby się nie potknąć, ruszyła do wyjścia.

Było jeszcze jasno, a ruch na ulicy wcale się nie zmniejszył. Linda zatrzymała się przed sklepem i przejrzała w szybie wystawowej.

Prezentowała się doprawdy komicznie! Ale cóż to ją mogło obchodzić? Z wysoko podniesioną głową pomaszerowała w kierunku domu, nie zwracając najmniejszej uwagi na osłupiałe i rozbawione spojrzenia, jakie biegły w ślad za nią.

Przez następne dwa dni Linda pilnie tupotała po mieszkaniu w pionierkach, aby przed weekendem zdążyć się do nich przyzwyczaić. Za każdym razem, gdy przypomniła sobie spotkanie w sklepie, wybuchała śmiechem, Peter Markham był człowiekiem o wielu twarzach, jednej bardziej zadziwiającej od drugiej.

Miło z jego strony, że zatroszczył się, by miała odpowiednie obuwie na wycieczkę. Od czasu, gdy Linda zamieszkała w Nowym Jorku, żaden mężczyzna nie obdarował jej jeszcze czymś tak praktycznym i pożytecznym. Zwykle otrzymywała banalne upominki, kupowane bez większego zastanowienia.

Naturalnie trzeba tu wziąć pod uwagę również niewiarygodną bezczelność tego faceta. Zdecydował, że Lindzie potrzebne są kłocowate trepy i urządził wszystko tak, by nie spytać jej w ogóle o zdanie. To było już niemal obraźliwe i stanowiło kolejny dowód, że Peter lubi podporządkowywać sobie ludzi. Jest najwyraźniej przyzwyczajony, że wszyscy spełniają jego rozkazy i nie obchodzi go wcale, czy dobrze się z tym czują.

Będzie się musiał jeszcze sporo nauczyć, przynajmniej jeśli chodzi o mnie, myślała. Sama ustalam, jak chcę żyć, i nie potrzebuję żadnego Petera Markhama ani jakiegokolwiek innego mężczyzny, by mówił, co jest dla mnie najlepsze!

W sobotni poranek Linda obudziła się bardzo wcześnie. Gdy z ulicy dobiegł hałas śmieciarki, wyskoczyła z łóżka. Najpierw podeszła do okna, żeby sprawdzić, jaka zapowiada się na dziś pogoda. Nie dało się jednak tego stwierdzić, bo nad miastem wisiała jeszcze szara mgła.

Dziewczyna podreptała do kuchni, po cichutku, by nie obudzić Cecylii, która jak zwykle wróciła późno w nocy. Po śniadaniu, składającym się z dwóch grzanek posmarowanych masłem i miodem oraz filiżanki kawy, Linda włączyła radio, chcąc usłyszeć prognozę pogody.

- Będzie dziś ciepło i słonecznie. Mogą wystąpić jedynie przelotne miejscowe opady — oznajmił wesoły głos.

Postanowiła więc włożyć lekkie dzinsy i bluzkę bez rękawów. Na wypadek, gdyby zrobiło się chłodno, weźmie jeszcze skafander. Przeszło jej przez myśl, że dziś znów zobaczy Petera w sportowym ubraniu, a nie w eleganckim garniturze. Wszystko jedno zresztą, co miał na sobie, i tak wyglądał zawsze interesująco i sprawiał wrażenie człowieka pewnego siebie, umiającego sprostać każdej sytuacji.

Dopiła letnią już kawę i ciężko westchnęła. Co przyniesie ten dzień? Wiedziała, że przetrwa go bez szwanku jedynie wówczas, gdy postara się panować nad własnymi emocjami. Nie będzie to łatwe, jako że Peterowi zawsze udawało się wyprowadzić ją z równowagi, ale tak czy inaczej musi spróbować. Powinna powściągnąć swój temperament, powtarzając sobie bez ustanku, że ten oto mężczyzna trzyma w ręku klucz do jej wspaniałej kariery zawodowej.

Przeszła przez salonik i miała właśnie wrócić do sypialni, żeby się ubrać, kiedy zadzwieczał telefon. Podbiegła do niego, omal nie przewracając się o kanapę, nie chciała by dzwonek obudził Cecylię.

- Halo? — wysapała prawie bez tchu do słuchawki.
  - Tu Peter. Chciałem tylko przypomnieć, żeby zabrała pani kostium kąpielowy.
  - Kostium kąpielowy? A po co?
  - Do pływania, ma się rozumieć. Chyba że woli pani...
- Szybko wpadła mu w słowo, nie chcąc słyszeć dalszego ciągu.
- Nie sądzi pan, że jeszcze za chłodno na kąpiel?
  - Taka pani delikatna? To pewnie od życia w wielkim mieście.

Linda przypomniała sobie Ohio i mary stawek, w którym pływała, aż siniąły jej wargi i cała trzęsła się z zimna.

- Dobrze, wezmę kostium. Coś jeszcze?

- Nie. Przyjadę za pół godziny.

Usłyszała trzask w słuchawce. Ten facet najwyraźniej nie miał pojęcia, jak należy zachowywać się, rozmawiając z kimś przez telefon. Gamoń! Wzruszyła ramionami i położyła słuchawkę na widełki.

Ubrała się w dżinsy i żółtą bluzkę, a następnie usiadła przed lustrem i musnęła policzki odrobiną różu.

- Jak się uczesać? — rozmyślała przez chwilę. — Chyba zwiążę włosy w koński ogon.

Fryzura ta nie należała co prawda do najmodniejszych i była może nazbyt młodzieżowa, ale za to wygodna, zwłaszcza na wycieczkę.

Pozostało tylko włożenie grubych wełnianych skarpet i pionierek. Linda zasnurowała je mocno, tak jak kazał Peter i podeszła do dużego lustra, by ocenić swój wygląd. Stwierdziła, że prezentuje się całkiem nieźle, jeśli nie liczyć tych komicznych butów. Wyjęła jeszcze parę drobiazgów z torebki i wrzuciła je do bardziej poręcznego lnianego worka. Spojrzała na zegarek. Była już za pięć dziesiątą.

- Chyba zjadę na dół i poczekam tam na Petera — zdecydowała. — On jest aż przesadnie punktualny, niech więc wie, że i ja zaliczam się do osób dobrze zorganizowanych.

Naraz przypomniała sobie o stroju kąpielowym i szybko otworzyła szufladę bieliźniarki. Wzięła pierwszy lepszy, jaki wpadł jej w ręce — stary niebieski kostium jednoczęściowy. Wepchnęła go razem z ręcznikiem do worka, zadowolona, że nie wybrała stroju bikini.

W całym bloku było jeszcze cicho, gdy szła do windy, czując na klatce zapach smażonych jajek i szynki. Nabrała nagle ochoty na drugie śniadanie.

W holu na parterze spotkała jedynie starego portiera, który miał dyżur tylko podczas weekendów.

- Witam, panno Parker. Wcześniej dziś pani wstała.

- Dzień dobry, panie Trefarkas — odparła przyjaźnie. — Zapowiada się piękny dzień, nieprawdaż?

- Tak. Mam zamówić dla pani taksówkę? Dziwią go pewnie moje buty, pomyślała Linda.

Czegoś takiego nie widuje się codziennie.

- Nie, dziękuję — powiedziała głośno. — Czekam na kogoś.

Wyszła na zewnątrz i stanęła przy oszklonych drzwiach, rozglądając się za „fantastycznym, zagranicznym wozem”, jak określiła go Cecylia. Obok bloku widać było tylko samochód dostawczy. Kierowca niósł do delikatesów po przeciwnej stronie ulicy kosz pełen świeżego pieczywa. Wyglądało tak apetycznie, że postanowiła kupić kilka rogalików i kubek kawy.

Trwało to dłuższą chwilę. Gdy Linda wróciła ze sklepu, odetchnęła z ulgą, nie widząc przed domem żadnego luksusowego samochodu. Stał tam jedynie zakurzony jeep.

Poszła więc w kierunku holu i ku swemu zaskoczeniu zobaczyła tam Petera, rozmawiającego z portierem. Obaj zauważyli ją dopiero, gdy była już obok nich,

- Linda! — zawołał Peter. — Pan Trefarkas i ja mówiliśmy właśnie o pani.

Z miną spiskowca spojrzał na portiera, a dziewczyna zaczęła się zastanawiać, czego też mogła dotyczyć owa pogawędka. Czyżby Peter wypytywał starszego pana o jej tryb życia?

Szybko jednak porzuciła te głupie myśli i uśmiechnęła się. Widząc, w jak miły sposób Peter żegna się z portierem, stwierdziła, że umie on, gdy chce, zachowywać się sympatycznie, bez cienia wyniosłości i arogancji.

- Gotowa? — zapytał.

- Tak. Proszę powiedzieć — zaczęła, by upewnić się, czy słuszne jest świtające w jej głowie podejrzenie — ten jeep należy do pana?

- Owszem — odparł Peter z dumą. — To świetny samochód.

Spojrzała niedowierzająco. Po chwili zaś przypomniała sobie, że w towarzystwie tego mężczyzny musi być przygotowana na najbardziej różnorodne niespodzianki.

Oczywiście nie pomógł jej wsiąść do wehikułu. Wdrapała się więc sama, trochę niezgrabnie, na przednie siedzenie, czując się jak w ciężarówce. Peter wskoczył za kierownicę i pochylił się, by spojrzeć na nogi dziewczyny.

- No, dzisiaj przynajmniej nie zwicznie pani sobie kostki — powiedział z zadowoleniem.

- Miejmy nadzieję.

Linda położyła na podłodze torbę z delikatesów i zapięła pasy.

- Kupiłam kawę i rogaliki. Ma pan ochotę? — Jasne — odrzekł i przekręcił kluczyk w stacyjce.

Wyjęła papierowy kubeczek, otworzyła go i podała Peterowi. Spojrzał i uśmiechnął się.

- Jestem wzruszony, że zapamiętała pani, jak bardzo lubię kawę.

Zaczerwieniła się zła na samą siebie.

- Nie było to trudne — odpowiedziała chłodno. — Ja też piję czarną.

- Wspaniale, że w tylu rzeczach zgadzamy się ze sobą. W tylu rzeczach? Nie wyobrażam sobie, by mogły istnieć dwie osoby różniące się bardziej niż my.

- Tak pani sądzi?

- Jestem całkiem pewna!

Przez chwilę milczeli, zajadając rogaliki. Peter wjechał na East Side Drive, autostradę biegnącą na wschód od Manhattanu wzdłuż East River.

Słońce zdołało już przebić mgłę. Na wąskich drózkach obok rzeki widać było ludzi spacerujących z psami lub uprawiających jogging. Bliskość samochodów wcale im nie przeszkadzała. Peter minął most Third Avenue i skręcił na trasę szybkiego ruchu.

Ręce mężczyzny mocno trzymały kierownicę. Ód czasu do czasu, nie spuszczając wzroku z drogi, sięgał po kubek, by wypić łyk kawy. Linda obserwowała go ukradkiem.

Miał na sobie, podobnie jak ona, dżinsy i pionierki, do tego czarny podkoszulek i znaną jej już koszulę z czerwonej flaneli. Był odprężony i szczęśliwy. Za takim właśnie wyrazem jego twarzy tęskniła podczas wszystkich ostatnich spotkań.

- Poznaje pani okolicę? — spytał, gdy minęli ostatnie osiedla.

- Nie — odparła szczerze.

Tamtego dnia, jadąc autobusem do mostu Bear Mountain, gdzie zaczynała się wycieczka, zajęta była czytaniem gazety i nie wyglądała w ogóle przez okno.

Peter rzucił jej pełne dezaprobaty spojrzenie.

- Wodospad znajduje się w okręgu Columbia.

- O! Niedaleko pańskiego domu na wsi?

- O krótki marsz. To znaczy: krótki dla mnie. — Uśmiechnął się. — Nie sądzę, żeby pani była w stanie przejść całe pięć mil.

- Jeśli leży pięć mil od pana domu — myślała głośno — to musi być częścią prywatnej posesji. Miejmy nadzieję, że właściciel zgodzi się na kręcenie tam filmu?

- Tę sprawę proszę już zostawić mnie — odparł nieprzyjemnym tonem, który bardzo nie spodobał się Lindzie.

- Może pan sobie być prezesem „Wspólnych Produktów”, ale to jeszcze nie otwiera panu wszystkich drzwi! Ja odpowiadam za kampanię i pańskie beztróskie obietnice nie wystarczą, żebym mogła przywieźć tu ekipę filmową. Nie mam ochoty, by wytoczono mi proces o bezprawne wejście na teren prywatny.

Peter patrzył na nią przez chwilę ostrym wzrokiem i Lindzie wydało się, że dostrzega w nim jakby respekt.

- O.K. — powiedział. — Załatwię podpisane i poświadczone zezwolenie, jeśli tylko pani uzna, że to miejsce się nadaje.

Odpowiedziała uśmiechem. Tę partię wygrała, ale czeka ją jeszcze niejedna walka.

Zaczęli rozmawiać o szczegółach projektu. Linda była z siebie dumna, bo mądrze i stanowczo broniła swego punktu widzenia, a jednocześnie z należnym szacunkiem brała pod uwagę zdanie Petera. Dopóki mowa będzie o sprawach zawodowych, nic nieprzewidzianego nie może się zdarzyć.

Jeep pędził teraz pod górę. Linda zamilkła, ujrawszy wspaniały widok. Ulicę Parkową, jedną z najstarszych dróg w stanie Nowy Jork, otaczały potężne, piękne drzewa. Niektóre stały jeszcze w kwiatach, bo wiosna przyszła tutaj późno. Derenie kwitły na biało i różowo, zieleń dębów i wiązów była delikatna i świeża. Tuż przy jezdni rozrosła się bujna trawa, w której błyszcząły kolorowe, wiosenne kwiatki. Dziewczyna miała ochotę wysiąść i zbierać sobie bukiet, ale nie powiedziała o tym głośno.

Miasto zniknęło w oddali i Linda, spojrzawszy na zegarek, zdziwiła się, że podróż trwa już dwie godziny. Czas minął tak szybko i, o dziwo, ani razu jeszcze nie pokłóciła się z Peterem. Przed skrzyżowaniem zobaczyła tablicę: Hudson—Ancram, Route 82. Zjechali na boczną drogę.

- Już niedaleko — powiedział Peter. Najwyraźniej zostawił, w mieście swoją zwykłą arogancję.

Trasa 82 wiodła przez wiejską okolicę. Linda poczuła się, jakby ktoś przeniósł ją do rodzinnych stron. Stare stacje benzynowe, sklepy z mieszanymi towarami i mijane wsie, które wyglądały jak uśpione, wydawały jej się swojskie i malownicze.

Peter zwolnił i skręcił w małą uliczkę, a raczej coś, co bardziej przypominało wyboistą, polną drogę.

- Jesteśmy prawie na miejscu — oznajmił.

- Jak daleko stąd znajduje się wodospad?

- Około dwóch mil.

- Dwie mile! W jaki sposób dotrze tam ekipa?

- Z przeciwnej strony można dojechać inną drogą prawie nad sam wodospad.

- To dobrze. A dlaczego my nią nie pojechaliliśmy?

- Myślałem, że chce pani wypróbować nowe pionierki!

- Myślał pan raczej, żeby samemu się przejść — odcięła się.

- To też.

Po obu stronach kamienistej ścieżki rozciągał się gęsty las. Krzaki i zarośla nie przepuszczały ani odrobiny światła. Lindzie zrobiło się słabo na samą myśl, że całe dwie mile przedzierać się ma przez taką gęstwinę. Przeczynała, iż Peter chce ją sprawdzić. Prawdopodobnie w myślach pękał już ze śmiechu, wyobrażając sobie, że znów będzie się bała niedźwiedzi, węży i innej zwierzyny.

Ale tym razem się zdziwi! Już ja mu pokażę. Postanowiła twardo, że ruszy przed siebie jak dzielny wojownik zdobywający teren wroga.

Peter jechał teraz bardzo powoli. Po chwili skierował jeepa w wąską zatokę przy ścieżce. Zatrzymał się i wyłączył silnik.

- Jesteśmy na miejscu — powiedział i wskazał na tylne siedzenie, gdzie leżał wielki plecak. — To nasz obiad.

Linda uśmiechnęła się.

- Wspaniale!

Cieszyła się, że nie będzie przynajmniej musiała dźwigać żadnych ciężarów.

Ostrożnie podążyła za Peterem. Nie chciała zaczepić się od razu o gałąź i upaść jak długa.

Zrobiło się ciepło, nawet w cieniu drzew nie czuła chłodu. Mężczyzna szedł bardzo szybko. Co pewien czas zatrzymywał się i wołał:

- Lindo, idzie pani?

Przypomniała sobie bajkę o Jasiu i Małgosi. Chyba tu w lesie nie czai się na nich jakaś czarownica? Dziewczyna zawstydziała się, że przychodzi jej do głowy takie dziecinne pomysły.

Dziki las był tak piękny, że aż zapierało dech. Zrozumiała teraz, dlaczego Peter tak kocha przyrodę. Ścieżka, którą wędrowali, biegła wzdłuż sosnowego lasu. Jego zapach wypełniał sobą całe powietrze. Szli po miękkiej, wilgotnej ziemi, niczym po dywanie z mchu i sosnowych igieł. Po wielkomijskim zgiełku ciszę, która ich otaczała, czuło się bardzo intensywnie.

Peter maszerował nieprzerwanie naprzód. Czasem podnosił głowę, jakby rozkoszując się swobodą i świeżym powietrzem. Linda również oddychała głęboko. Trasa okazała się znacznie łatwiejsza, niż to się z początku wydawało. Przeszli już chyba z półtorej mili, nie odzywając się do siebie ani słowem. Nagle mężczyzna przystanął.

- Słyszysz pani? — zapytał, kładąc palec na ustach. Zaczęła nad słuchiwać. Do jej uszu nie dotarł jednak żaden szczególnie dźwięk, prócz ćwierkania ptaków i cichego, dalekiego szmeru.

- Ma pan na myśli ten szum? Co to takiego?

- Wodospad! Jest już blisko. Chodźmy — powiedział i wziął ją za rękę.

Maszerowała obok niego, czując uścisk ciepłej męskiej dłoni. On najwyraźniej nie widział w tym nic podniecającego. Trzymanie jej za rękę traktował jak rzecz całkiem naturalną; Szkoda, że ja tak nie potrafię, pomyślała. Wszystkie jej doznania skoncentrowały się bowiem na palcach, gdzie czuła bliskość jego ciała.

Na przejście pozostałego odcinka drogi potrzebowali piętnastu minut, jako że Peter prawie biegł. Zdyszana dziewczyna z trudem za nim nadążyła.

- To już tu, za zakretem — powiedział wreszcie. Skinęła głową. Łoskot spadającej wody dało się słyszeć całkiem wyraźnie.

Linda pierwsza stanęła jak wryta na widok fantastycznego zjawiska.

- O, Peter — szepnęła z zachwytem.

Z miejsca, w którym się zatrzymali, widać było, jak fale górskiego potoku rozbijają się o skały, tworząc głęboko w dole pieniający się staw. Krople, niby diamenty, błyszczały w promieniach słońca, układając się w przejrzystą kaskadę.

Linda wstrzymała oddech. Nigdy jeszcze nie widziała czegoś równie pięknego. Aż trudno było uwierzyć, że ów baśniowy zakątek leżał zaledwie dwie godziny drogi od Wall Street.

- Czy ta scenografia pasuje do pani filmu? — spytał całkiem niepotrzebnie Peter.

- Czy pasuje? Jest idealna! Po twarzy Lindy przebiegł cień.

- Ale nie bardzo podoba mi się pomysł, żeby burzyć spokój tego cudownego miejsca, wprowadzając tu ekipę filmową.

Peter uściśnął jej dłoń i popadł w milczenie. Stali tak obok siebie, patrząc na mieniającą się kaskadę, która szerokim strumieniem rozlewała się u stóp skały. Wyżłobienie w dole wyglądało jak wycięte z kamienia. Otoczone mchem i paprocią, miało w środku piaszczysty, suchy pas, niby plażę zachęcającą do opalania. Powalony pień drzewa tworzył most wiodący do tego uroczego zakątka.

- Zejdziemy na dół? — zapytała Linda.

- Pewnie. Przyjechaliśmy przecież, żeby zwiedzić okolicę.

Te słowa przypomniały jej o właściwym celu wycieczki, o którym w swoim zachwycie przestała myśleć. Wyobrażała sobie, jak muszą się czuć odkrywcy, przemierzający po raz pierwszy obcy ląd.

Mężczyzna trzymał ją mocno za rękę, gdy schodzili z pagórka.

Zauważyła, że starał się deptać jak najmniej roślin i nigdy nie wchodził na kruchy mech, gdy mógł tego uniknąć. Czytała kiedyś, że mchy szczególnie łatwo ulegają zniszczeniu i trzeba lat, by znów wypuściły korzenie i zagnieździły się w luźnej, gąbczastej glebie.

Peter zbliżył się do pnia, lecz Linda zawahała się. Pomost wyglądał na niezbyt stabilny. Czy rzeczywiście ma po nim przejść? Wydawało się, iż Peter oczekuje, aby ruszyła przodem. Podtrzymał ją. Opuściła się na kolana, spoglądając w dół, na spienioną wodę. Na pewno była bardzo zimna. Dziewczyna nie miała najmniejszej ochoty do niej wpaść i, niezdecydowana, obejrzała się na Petera.

- Potrafi pani — dodał jej odwagi. — Będę tuż za panią.

Stał na pniu i pomógł jej się podnieść. Zachwiała się i uczepliła jego koszuli.

- Nie mogę.

- Oczywiście, że pani może. To tylko parę kroków.

Postawiła ostrożnie jedną obutą w niezgrabny but nogę przed drugą. Worek przewiesiła przez ramię, a ręce wyciągnęła na boki, by utrzymać równowagę. Z zaciśniętymi zębami modliła się, by nie runąć do wody. Wyglądałaby po takiej kąpieli jak mokry szczur.

- Proszę nie patrzeć w dół — polecił Peter.

Posłuchała, ruszając wolno i uważnie do przodu. Zanim w pełni uświadomiła sobie, co robi, niebezpieczeństwo było już za nią. Ze śmiechem zeskoczyła na twardy grunt. Za chwilę Peter stał już przy niej, obejmując ją ramieniem. Przez cienką bluzkę poczuła ciepło jego ręki i zakreśliło jej się w głowie. Zaraz jednak opanowała się i rozejrzała ciekawie wokół siebie.

Piasek był czysty i nagrany od słońca. Peter usiadł, opierając się plecami o drzewo. Zamknął oczy i oddychał głęboko. Wyglądało na to, że całkiem zapomniał o Lindzie, która przyglądała mu się z uwagą. W tym cichym, wyizolowanym świecie czuł się jak u siebie w domu.

Usiadła obok, wdychając zapach świerków i wilgotnej ziemi. Głowę położyła na chropowatym pniu i była szczęśliwa, że może siedzieć tak obok Petera, dzieląc z nim ten raj.

Słońce ciepłymi promieniami oświetlało twarz Lindy. Zamknęła oczy. Jej gęste rzęsy rzucały cień na policzki.

Peter poruszył się. Spojrzała w jego stronę. Obserwował ją zagadkowym wzrokiem. Bez słowa pochylał się i delikatnie pocałował jej usta. Było to ledwie muśnięcie. Linda nawet nie drgnęła, patrzyła tylko jak zaczarowana w jego tajemnicze oczy.

- To nagroda dla grzecznej dziewczynki — powiedział czule. — Dzisiaj naprawdę mnie pani zadziwiła. Jeszcze będzie z pani prawdziwa turystka.

- Prawdziwa turystka! — zawołała Linda ze złością. — Grzeczna dziewczynka! Ten pana protekcyjnalny, ojcowski sposób zwracania się wywołuje we mnie wściekłość!

Peter śmiał się z rozbawieniem. Linda obrzuciła go gniewnym wzrokiem i zrozumiała, że winnym jej zdenerwowania jest pocałunek. Nawet takie zwykłe dotknięcie warg, pozbawione namiętności i pożądania, było w stanie kompletnie wyprowadzić ją z równowagi i sprawić, że nie mogła pozbierać własnych myśli.

Co się ze mną dzieje? — zastanawiała się, wzburzona. Czy to możliwe, że zakochałam się w człowieku, który zupełnie do mnie nie pasuje, po którym można się spodziewać absolutnie wszystkiego, gdy zapragnie przeforsować swoją wolę? Jakże mogłabym mieć zaufanie do kogoś takiego?

Byłoby jej nieprzyjemnie, gdyby Peter dowiedział się, o czym teraz myśli. Szybko więc wstała i zaczęła udawać, że bardzo interesuje ją okolica. Odwrócona tyłem, przyglądała się roślinom porastającym brzeg stawu.

Ale Peter Markham nie przywykł, by go nie zauważano. Poczula, że stoi za nią, nim jeszcze otworzył usta.

- Mam nadzieję, że się pani nie dąsa?

- Nie — odparła, zwracając się w jego stronę. — Proszę posłuchać, chciałabym, żeby ta wycieczka zachowała charakter czysto służbowy: Nie wiem dlaczego, ale nasze spotkania bardzo często kończą się... w sposób dość prywatny. Zaśmiał się głośno.

- Chce pani powiedzieć, że na końcu zachowujemy się zawsze jak para zakochanych, tak?

- Tak... Nie! Wydaje mi się...

Szukała właściwych słów, by opisać tę skomplikowaną sytuację.

- Otwierają się przede mną szanse zawodowe, które wiele dla mnie znaczą. Nie mam czasu na nic innego. W tej chwili w moim życiu jest miejsce wyłącznie na pracę.

- Takie przemówienie przyniosłoby zaszczyt każdej, zatroskanej o swą karierę, damie z Manhattanu. — szydził Peter.

Spojrzała na niego z powagą.

- To znów typowe dla pana! Kiedy pan pnie się w górę, wszystko jest w absolutnym porządku, u mnie zaś pana to razi. Dlaczego? Bo jestem kobietą?

- Nie — odparł spokojnie. — Dlatego, że uważam, za odpychające, gdy ktoś — obojętnie, mężczyzna czy kobieta — wtłacza swoje życie w tak wąskie ramy. Praca i nic poza nią! To nienormalne i niezdrowe.

- Cóż więc by pan proponował?

- Na dobry początek mogłaby pani przyznać, że coś do mnie czuje, zamiast tłumić swoje emocje. Między nami coś jest, Lindo, wszystko jedno, czy nazwiemy to przyciąganiem magnetycznym, czy namiętnością — coś w każdym razie jest, nie może pani zaprzeczyć.

Wiedziała, że on ma rację. Ale jeśli potwierdzi, da mu władzę nad sobą, a tego przecież nie chce.

- Nie mam zamiaru wplątać się w żadną miłość — krzyknęła z wszystkich sił. — Ani do pana, ani do kogokolwiek!

- Przecież wcale się pani nie oświadczam Lindo.

Na chwilę odebrało jej mowę. Odetchnęła głęboko, by przemoc swoje oburzenie i odezwała się z lodowatym spokojem: To dobrze, bo nie wyszłabym za pana, nawet gdyby był pan jedynym mężczyzną na świecie. Nie zamierzam także się z panem przespać. Popelnia pan duży błąd, twierdząc, że gardzi kobietami, które chcą zrobić zawodową karierę, a jednocześnie wykorzystując je, gdy przyjdzie panu ochota. Ale ze mną się panu nie uda. Nawet, gdyby pan stanął na głowie!

I cóż to przez panią przemawia? Moralność Środkowego Zachodu! Pod fasadą światowej damy bije serce dziewczyny z małego miasteczka?

Linda poczuła się trafiona. W stwierdzeniu Petera było wiele prawdy, ale nie przyznałaby się do niej za nic. Nie wstydziła się swoich zasad moralnych, ale twarde życie w Nowym Jorku nauczyło ją, że przebić się można tylko wówczas, gdy uczucia i wrażliwość ukryje się pod pancierzem nieczułości. Dotychczas świetnie udawało jej się grać osobę wyniosłą, jaką nigdy nie była, i dzięki tej umiejętności całkiem nieźle dawała sobie radę. Dopiero Peter Markham zerwał maskę z jej twarzy i udowodnił, że namiętność to wielka siła i należy się z nią liczyć.

Przemogła się jednak i przestała zwracać uwagę na zamęt, który panował w jej wnętrzu.

- Raz już zawarliśmy pokój — powiedziała prosząco. — Czy nie moglibyśmy tego powtórzyć? Dzień jest piękny, to miejsce cudowne, a pan mówił, zdaje się, że ma w plecaku coś do jedzenia. Może skosztowalibyśmy i poudawali przez chwilę parę przyjaciół?

Peter przyjął propozycję.

- Czy naprawdę musielibyśmy udawać? — spytał.

Na twarzy Lindy pojawił się uśmiech ulgi. Burza minęła.

- Być może... jeśli dobrze zagramy swoje role, staną się one rzeczywistością!

Mężczyzna zamyślił się. Linda odwróciła wzrok od jego frapującej twarzy.

Czy popełniłam straszny błąd? — pytała samą siebie.

Peter Markham, wiedziała to z całą pewnością, byłby w miłosnej sztuce czułym i namiętym nauczycielem. Lecz to, co ją od niego odpychało, nie pozwoliłoby również szukać spełnienia w jego ramionach. Przeczynała, że przyjdzie czas, gdy będzie mogła oddać się bez reszty, ale jedynie człowiekowi, który ją pokocha i zechce przy niej zostać. Nie komuś, kto chce tylko przeżyć małą przygodę.

- Co powiedziała pani na corned beef z razowym chlebem?

Peter sięgał już do plecaka.

- Wspaniale! Moja ulubiona potrawa!

- Moja również.

Linda rozłożyła ręcznik i pomogła Peterowi umieścić na nim kanapki, sałatkę i butelki z wodą sodową.

- Wygląda bardzo apetycznie — powiedziała z uznaniem.

- Bez wina, sera i obrusa w czerwonej kratce nie jesteśmy w zgodzie z aktualną modą — stwierdził, śmiejąc się. — Ale mnie i tak się podoba.

- Mnie też. Zresztą nie lubię wina.

- Co?

Wydawał się zdziwiony. Linda zachichotała.

- A szampana po prostu nie znoszę.

- Cóż za osobliwy gust — zażartował. — Prawie taki sam jak mój.

Spuściła głowę. Nie wiadomo dlaczego, ta rozmowa podziałała na nią deprymująco. Przeskoczyła więc zrećnie na inny temat i zaczęła mówić o swoich doświadczeniach z szampanem „Cud”.

- To zadziwiająco dobry produkt — stwierdziła.

- Miejmy więc nadzieję, że reklama pani autorstwa przekona niejednego sceptycznego odbiorcę.

- Bez wątplenia!

- Taka pani pewna siebie?

- Gdy chodzi o moją pracę — tak.

Linda zaśmiała się i jej wzrok powędrował w stronę wodospadu. Wyobraziła sobie, jak Carol Jurgens myje włosy w migoczącej kaskadzie. A na zielonym brzegu umieści się wesołe ruchome kukielki. To będzie sukces, z całą pewnością.

- Jak głęboki jest staw? — zapytała.

- Na środku woda sięga do piersi.

Skinęła głową zadowolona. Mówiła jeszcze o kącie ustawienia kamery, o oświetleniu, a Peter słuchał z zainteresowaniem.

- Jest pani gotowa do próby? — spytał nagle.

- Wzięła pani kostium, prawda?

- Chce się pan kąpać? Teraz?

- Jasne! Proszę zobaczyć, co tutaj mam. Pogrzebał w plecaku i wyciągnął butelkę szamponu „Cud”.

- O, nie! — zaprotestowała Linda ze śmiechem.

- Niech pan nie oczekuje ode mnie przedstawienia.

- Dlaczego nie? Po to przecież tu jesteśmy. Chcieliśmy wszystko dokładnie zbadać! Kto życzył sobie, by ten dzień przeznaczyć wyłącznie na sprawy służbowe?

Linda zrozumiała, że pokonano ją jej własną bronią. Ale sam pomysł nie był zły. Warto dowiedzieć się, czy całą scenę uda się nakręcić w plenerze, czy też trzeba będzie wynająć dodatkowe studio do zdjęć we wnętrzu. Jeśli da się tak zrobić, żeby Carol rzeczywiście umyła włosy pod wodospadem, zaoszczędzi to mnóstwo czasu i pieniędzy.

- Zgadza się — odparła z lekkim wahaniem, rozglądając się za miejscem, gdzie mogłaby włożyć kostium. Niczego takiego jednak na maleńkiej wyspie nie było.

Peter wyratował tym razem dziewczynę z kłopotliwej sytuacji.

- Moje kąpielówki zostały w jeepie. Pójdę po nie.

- W porządku — zgodziła się. — Zanim pan wróci, zdążę się przebrać.

Linda włożyła swój niebieski kostium kąpielowy i obejrzała dokładniej najbliższe otoczenie. Odkryła drogę, o której wspomniał Peter. Rzeczywiście, prowadziła niemal do samego wodospadu. Jedyną trudność mógł sprawić właściciel tego terenu, ale tu trzeba się już zdać na Petera.

Mężczyzna wrócił po niecałych dwudziestu minutach. Linda zobaczyła go z góry, znad wodospadu. Schodząc z pagórka i pokonując kładkę, spostrzegła, że jego kąpielówki zrobione są ze starych, obciętych dżinsów. Nie miał już na sobie koszuli i widok jego nagiej, muskularnej piersi sprawił, że poczuła szybsze bicie serca.

- Mógłby pan być biegaczem olimpijskim — zauważyła żartobliwie.

- Staram się nie wypaść z formy — odparł skromnie i położył się obok niej na piasku. Nie był ani trochę zdyszany. Jak zawsze, poczuła silne podniecenie, wywołane bliskością Petera.

Jak to możliwe myślała z niepokojem, że najmniej odpowiedni mężczyzna pociąga mnie tak nieodparcie? To chyba jakaś instynktowna, fizyczna żądza.

Ale wniosek ów nie pomógł jej wcale wyzwolić się z dziwnego stanu, w jakim się znalazła.

Sięgnęła do włosów i zdjęła gumkę. Spływały teraz swobodnie na ramiona. Linda zauważyła zachwyty w oczach Petera.

- A więc — zaśmiała się, skrywając swoje zakłopotanie — jestem gotowa do eksperymentu. Proszę o szampon.

Podał jej nietłukącą, plastikową butelkę, wziął dziewczynę za rękę i pociągnął w stronę skalistego brzegu. Czysta, zimna woda obmyła ich stopy.

- Ooooch! — krzyknęła Linda. — To przecież lód!

- Niestety, nie ma odwrotu!

Peter nie puścił jej, lecz skoczył do błyszczącej wody, pociągając Lindę za sobą. Upadła na niego. Szok, wywołany zetknięciem z lodowatą wodą, był zbyt silny, by mogła wrzeszczeć. Zanurzyła się z głową i za chwilę wypłynęła, prychając na wszystkie strony.

Peter objął ją mocno. Czowała jego ciało, tuż przed sobą miała jego kark i ramiona, na których perliły się krople wody.

- Peter — zawołała, ciężko dysząc. — To było podłe!

- Ejże! Poszło nam bardzo dobrze. Nie ma sensu zwlekać, skoro decyzja już i tak zapadła. Woda jest zimna, ale za to wspaniale orzeźwia, niechże pani przyzna!

Zaśmiał się i opryskał jej twarz. Linda schyliła się i obronnym gestem wyciągnęła przed siebie ręce.

- Niczego nie przyznam! — krzyknęła. Ochlapała go i za chwilę oboje buszowali w stawie jak para rozhukanych dzieciaków. Ich śmiech dźwięczał w leśnej ciszy. Linda przyzwyczała się do chłodnej wody i teraz wydawała się jej ona całkiem przyjemna.

Odplynęła daleko od Petera, na głębszą część jeziora i przewróciła się na plecy, by widzieć szczyty prosto w twarz. Zamknęła oczy, poddając się ciepłym promieniom. Spokój trwał jednak krótko. Peter wynurzył się nagle obok dziewczyny i usiłował wciągnąć ją pod wodę. Linda zaczęła pisać — trochę z rozbawienia, a trochę ze strachu.

- Potworze! — zawołała. — Ja panu pokażę! Złapała go za szyję i ze wszystkich sił starała się, by poszedł w dół. Gdy tak bezskutecznie się męczyła, dziecinna zabawa zacięła niespodziewanie zmieniać się w scenę erotyczną. Powietrze zdawało się trzeszczeć od nadmiaru napięcia. Ramiona Lindy obejmowały mężczyznę, jej mokre ciało tuliło się do niego. Obudziły się zmysły.

Czas na chwilę stanął w miejscu. Jasne, słoneczne światło i pogodny krajobraz dziwnie kontrastowały z płonąca namiętnością, jaka ogarnęła tych dwoje. Zniknęły śmiechy i żarty, a przyroda pograżyła się w milczeniu, jakby czekając na nieuchronne połączenie się dwóch ciał.

Linda westchnęła. Jej wargi drżały w oczekiwaniu na pocałunek. I wtedy przypomniało jej się, co sobie postanowiła. Wyszepiała niewyraźnie:

- Szampon. Miałam nim umyć włosy.

- Ach tak, włosy — powiedział Peter i wypuścił ją z objęć.

Wydawało się, że podobnie jak ona stara się usilnie zapomnieć o niebezpiecznej chwili, która właśnie minęła. Podpłynął do skały i wrócił z butelką. Linda obserwowała go. Jej artystyczne oko zauważyło siłę i zręczność ruchów Petera. Pragnęła znów znaleźć się w jego ramionach.

Podał szampon, trzymając się z daleka od jej błyszczącego kroplami wody ciała.

- Dziękuję — powiedziała cicho, zastanawiając się, czy będzie można jeszcze przywołać tamten poprzedni nastrój, pełen beztrudnej wesołości.

- Była to dla mnie przyjemność — odrzekł szarmancko i popłynął za Lindą do miejsca, gdzie spadająca woda tworzyła naturalny prysznic.

Linda zbliżyła się do wodospadu. Z zachwytem oglądała grę migoczących kropli.

- Jakże to piękne! — zawołała. Odwróciła się do Petera.

- Mam nadzieję, że szampon nie zawiera fosforanów?

- Absolutnie nie — zapewnił. — Przyrodzie nic się od niego nie stanie.

- To dobrze.

Zdjęła zakrętkę. W zagłębieniu dłoni wlała odrobinę zielonego płynu i podstawiła głowę pod strumień wody. Gdy masowała włosy, przyszło jej na myśl, że nigdy nie wpadłaby na to, by chwyt reklamowy własnego autorstwa sprawdzać najpierw na sobie. Nie przeczuwała również, że istnieje gdzieś miejsce, które tak idealnie odpowiada jej wyobrażeniom. Przy okazji mogła stwierdzić, że szampon „Cud” nawet w zimnej wodzie wspaniale się pieni. Nagle zapiekło ją pod powiekami.

- Au! — zawołała. — Nalało mi się do oka!

Peter natychmiast znalazł się przy niej i odgarnął jej mokre włosy z czoła, podczas gdy Linda ocierała oczy.

Pomógł jej dokończyć mycia, a mocny dotyk jego palców wywoływał dreszcz podniecenia.

- Dziękuję. Teraz na pana kolej — powiedziała, gdy skończył.

Kazała mu pochylić się, a on słuchał bez sprzeciwu. Kiedy myła mu włosy, pomyślała, że oboje tworzą prawdziwie idylliczny obrazek. Dwoje wesołych dzikusów pod wodospadem!

Popchnęła lekko Petera pod strumień i splukała pianę. Miał zamknięte oczy, a na jego twarzy połyskiwały drobinki wody. Poczowała ucisk w gardle i szybko przełknęła ślinę.

- No, to jesteśmy już czysti — zawołała.

- I wiemy też, że wszystko uda się wspaniale. To znaczy... — zaczerwieniła się — mam na myśli sprawy zawodowe.

- Naturalnie, zawodowe — powtórzył Peter. - Cóż by innego?

Za chwilę płynęli już w kierunku skały i wspinając się po niej wyszli z wody. Linda przypuszczała, że wargi ma całkiem sine. Zęby szczękały jej z zimna, ale słońce zaraz pospieszyło z pomocą.

Ręcznik, który wcześniej posłużył im jako obrus, leżał wciąż na ziemi. Linda otrzepała go i owiązała sobie wokół głowy. Na mokry kostium włożyła bluzkę, Peter, z braku ręcznika, suszył włosy na słońcu. Położył się wygodnie, z rękami pod szyją. Linda usiadła i oparła plecy o pień drzewa. Podniosła jakiś patyk i rysowała nim na piasku abstrakcyjne wzory.

- Niech mi pani opowie jeszcze o swoim dzieciństwie w Ohio — poprosił Peter, nie otwierając oczu.

- Nie było w nim nic specjalnie ciekawego, zanudzę pana.

- Na pewno nie, bardzo mnie to interesuje.

Zaczęła więc mówić o swojej rodzinie, dużym domu i farmie. Jej ojciec wychodził każdego ranka na pole i wracał dopiero na obiad, przygotowany troskliwą ręką matki. Linda wspomniała o uczuciu łączącym rodziców, którym obdarzali również swoją jedyną córkę.

- Tego i sobie życzę, pewnego dnia... — powiedziała, zapominając, że słucha jej ktoś jeszcze. — Takiego małżeństwa.

- Nie wydaje się pani, że w Nowym Jorku trudno będzie zrealizować podobne marzenia?

- Nie — odparła, pogrążona w myślach. — Gdzieś głęboko w swoim wnętrzu ludzie są zawsze tacy sami. Miejsce zamieszkania nie ma tu nic do rzeczy.

- Chciałbym podzielać pani zdanie.

Linda spojrzała na niego z zadumą. We wszystkim chyba różnił się od jej ojca. Promieniował energią, pewnością siebie, poczuciem własnej wyższości. Ojciec zaś był człowiekiem bardzo spokojnym, trochę ociężałym i konwencjonalnym. Nie, z kimś takim jak Peter na pewno nie można zbudować partnerskiego, przepelnionego miłością związku, takiego, jak jej rodziców. Na przyszłość więc postanowiła solennie odpędzać od siebie podobnie głupie myśli.

- A jak wyglądało pana dzieciństwo? Czy było równie ubogie w wydarzenia?

- W pewnym sensie tak — odparł z uśmiechem. — Urodziłem się w Filadelfii i należałem do dzieci nad wiek rozwiniętych. Moi rodzice rozwiedli się krótko po ślubie i potem miałem kilku ojcymów, którzy usiłowali mną rządzić.

- To musiało być okropne — wymamrotała Linda.

- Jakoś przeżyłem — powiedział zimno — i wiele zdołałem się nauczyć. Nie palę się, jak pani, aby cokolwiek z tamtego okresu przenieść do mojego dzisiejszego życia.

Nie wiedziała, co ma na to odpowiedzieć, umilkła więc. Kamyki mozaiki zaczęły się jej układać w kompletny obraz. Skoro Peter wychował się w takim domu, a jego matce nie udało się już nigdy stworzyć udanego związku, nic dziwnego, że ten mężczyzna boi się uczuć.

Problemy, które poznał jako dziecko, spowodowały, że stał się taki, jaki jest. Dlatego właśnie nie może ścierpieć, gdy ktoś wchodzi mu. w drogę.

W jego osobowości było jednak coś jeszcze, co budziło zdziwienie Lindy.

- Pochodzi pan z wielkiego miasta, skąd więc bierze się pańska miłość do przyrody?

- Myślę, że ludzie najbardziej pragną tego, czego akurat nie mają — odparł w zamyśleniu. — W każdym razie ze mną tak było. Zawsze marzyłem, by spać w namiocie, łowić ryby, pływać i przedzierać się przez las. Naturalnie nie miałem po temu okazji. A więc czytałem całą masę książek przyrodniczych. Potem mogłem, przynajmniej częściowo, zrealizować swoje marzenia. Nie chciałbym przez całe życie być uwięziony w murach miasta. Moje miejsce jest tutaj, tu czuję się dobrze. Praca w Nowym Jorku służy mi tylko do tego, bym mógł sobie pozwolić na pobyt na wsi, gdzie odnajduję sam siebie. Zrobił długą przerwę.

- Wątpię, by pani mogła to zrozumieć — dodał po chwili.

- Ależ tak — powiedziała z powagą, — Uważam, że to całkiem logiczne.

Nagle rozgadali się — o przeszłości, szkole, pracy, swoich poglądach — coraz lepiej poznając się nawzajem.

Linda zauważyła, że Peter zaczyna w niej budzić bardziej przyjazne uczucia. Nie przypuszczała, że to może kiedyś się zdarzyć. Poczula do niego sympatię, której nie dawało się racjonalnie wytłumaczyć. Postanowiła nie rozmyślać nad tym, lecz cieszyć się po prostu obecnością Petera.

Słońce chyliło się już ku zachodowi.

- Musimy pomyśleć o powrocie — powiedział nagle mężczyzna.

- Ma pan rację. Szkoda! Ciężko mi będzie opuścić to miejsce. Tak tu pięknie, że najchętniej nigdzie bym się nie ruszała.

- Wiem, ale dla pani była to tylko miła odmiana, nieprawdaż? Pani prawdziwe życie toczy się na Manhattanie.

Spakowali swoje rzeczy i wrócili do jeepa. Linda zauważyła ze zdziwieniem, że wcale nie czuje się zmęczona. To świeże powietrze tak ją ożywiło.

Kiedy jechali z powrotem, Peter odezwał się:

- Skoro odwaliliśmy już całą robotę, jestem właściwie pani winien kolację. Co pani o tym sądzi?

- To niepotrzebne. Byłam już z Jamesem Clintonem w „L'Oille Douce” i omówiliśmy tam wszystkie szczegóły.

- Znam miłą restaurację nad rzeką. O każdej porze można tam zjeść coś ciepłego, a ja mam ochotę na rybę.

- Już późno — protestowała słabo Linda. Tak naprawdę wcale nie chciała się jeszcze z nim rozstawać. Dzień spędzony nad wodospadem wiele dla niej znaczył i uważała, że Peter i ona są na najlepszej drodze, by zostać prawdziwymi przyjaciółmi. Nie było powodu, by odmawiać.

- Rzeczywiście, jestem okropnie głodna. Wspaniale będzie zjeść z panem kolację.

Uśmiechnął się tajemniczo i nacisnął mocniej pedał gazu.

## 9

Linda siedziała odprężona na przednim siedzeniu, a Peter pewnie prowadził samochód, jedną rękę trzymając na kierownicy, a łokieć drugiej na ramie otwartego okna. Łagodny wieczorny wiatr rozwiewał błyszczące, nieco potargane włosy dziewczyny. Od czasu do czasu próbowała odgarnąć z twarzy opadające kosmyki.

- Kiedy jako dziecko mieszkałam w Ohio — opowiadała, ogarnięta dziwnym uczuciem swobody i rozluźnienia — marzyłam, by wyjechać do Nowego Jorku i zdobyć tam sławę. Moi rodzice byli tym zasmuceni, uważali, że istnieje tylko jedna droga do szczęścia: małżeństwo, własny dom i dzieci. Nie wiedzieli — stwierdziła zarożumiała — że dziś kobieta może mieć wszystko — miłość, udany związek, dzieci oraz satysfakcjonującą pracę.

- Ale pani jeszcze tego nie osiągnęła — skomentował Peter, z filuternym uśmieszkiem.

- Jeszcze nie, ale kiedyś...

Zaczerwieniła się. Mimo pewnych różnic zdań ten dzień przeżyli bardzo zgodnie. Zaczynała już akceptować fakt, że zakochała się w Peterze. Spojrzała ukradkiem na siedzącego obok mężczyznę, podziwiając jego profil i lekko opaloną skórę.

- Pani jest marzycielką i ma zbyt wiele złudzeń — zauważył. — Znam w Nowym Jorku całą masę kobiet, które robią karierę zawodową, ale żadna z nich nie żyje w udanym związku.

- Po prostu nie zna pan właściwych ludzi — roześmiała się, ale zaraz dodała poważnie — nie mówiłam, że wydaje mi się to proste. Przeciwnie, bardzo trudno jest udźwignąć tak wielką odpowiedzialność i nie stracić orientacji. Ale wiem, że poradzę sobie, gdy zajdzie konieczność.

Umilkła i oddała się miłym marzeniom. Widziała w nich siebie i Petera, szczęśliwą parę małżeńską z dwójką zachwycających pociech — chłopcem i dziewczynką. Obok ich dużego, słonecznego mieszkania na Manhattanie znajdował się ogród. Była w nim huśtawka i brodzik dla dzieci. Ona i Peter trzymali się czule za ręce...

- Proszę spojrzeć — powiedział, przerywając jej słodkie marzenia. Podążyła za jego wzrokiem.

- Och — wykrzyknęła z nabożnym zachwytem. W oddali, za nowojorską stoczną, zachodziło słońce, a sylwetka Manhattanu unosiła się majestatycznie w jasnym, złotym zmierzchu. Można było rozpoznać bliźniacze wieże Centrum Światowego Handlu i wzbijające się w górę szczyty Empire State Building. Nowy Jork wyglądał z tej odległości jak bajkowa kraina, zbyt piękna i zbyt krucha, by mogła być rzeczywistością.

- Oto ona — powiedział Peter ochrypłym głosem. — Fatamorgana pani marzeń.

- Tak — potwierdziła gorąco, nie zauważając jego ponurego wzroku i zmarszczonego czoła. — A moje marzenia już zaczęły się spełniać.

- Reklamówka szamponu „Cud” to pani bilet do sukcesu, nieprawdaż?

- Mam taką nadzieję — odparła szczerze.

- Kiedy pokażę, na co mnie stać, w przyszłości będę otrzymywać nieograniczoną liczbę zleceń.

- Ależ pani ambitna!

- Zgadza się. Ciężko pracowałam na tę szansę i cieszę się z niej bardziej, niż potrafię wypowiedzieć. Wiem, że to panu powinnam dziękować.

- Proszę tego nie robić. Wybiła się pani dzięki własnym osiągnięciom.

- Ale pan się ich po mnie wcale nie spodziewał, prawda?

- Mówiłem już, że zaciekawiło mnie pani zdecydowanie.

- A teraz jest pan zadowolony? — pytała dalej, sądząc, że i on musi odczuwać satysfakcję.

- Zrobiła pani coś dobrego, — odparł wymijająco. — Pani pomysły pomogą sprzedać nasz produkt.

Słońce zniknęło powoli za drapaczami chmur, cienie wydłużały się, a na zachodzie widać już było niewyraźny zarys wschodzącego księżyca.

- Nie chcę nic mówić, ale jestem coraz bardziej głodna — wyznała Linda.
- Zaraz będziemy na miejscu. Za jakieś czterdzieści pięć minut.
- Wsadzi mnie pan na chwilę przed moim domem? Chciałabym się przebrać.
- Przebrać? A po co? To całkiem zwyczajna restauracja.
- Ależ ja wyglądam okropnie — zaprotestowała. — Niech pan tylko spojrzy!

Wzrok Petera powędrował w prawo, gdzie Linda spoczywała na wysokim siedzeniu niczym na tronie.

- Wygląda pani po prostu jak dziewczyna, która spędziła dzień na łonie natury.
- Uważa pan, że mogę tak iść do lokalu?
- Nie ma się czego bać — odrzekł kpiąco. — Jest pani wystarczająco ładna.
- Łatwo powiedzieć! Pan nie ma najmniejszego pojęcia, jak ważną rolę odgrywa odpowiedni strój.

- Owszem, mam pojęcie, ale nie chciałabym zwlekać z kolacją jeszcze przez godzinę, podczas gdy pani będzie odprawiać swoje upiększające rytuały. Po to tylko, by wyglądać jak tysiące innych mieszkanek Nowego Jorku — śmiertelnie elegancko i z taką ilością makijażu, że cały przemysł kosmetyczny mógłby żyć z tego przez sto lat.

- Peter! — zawołała z oburzeniem. — To nie fair! Nie potrzebuję aż godziny i nigdy nie maluje się zbyt mocno. Skoro jednak twierdzi pan, że wyglądam wystarczająco dobrze — dodała łagodniej — to wierzę. Mam do pana zaufanie.

Rzucił jej ironiczne spojrzenie i skrzył w Ulicę Parkową. Jego milczenie i twarde błysk w oczach rozżłościły Lindę, bo nie czuła się w niczym winna. Ale zaraz pomyślała sobie, że nie ma właściwie powodu, by znów zachowywać się chłodno i obojętnie jak dotychczas, przed tą wspaniałą wycieczką.

- Ach, ten dzień był naprawdę piękny — westchnęła głośno. — Właściwie wydaje mi się, że to grzech wpuszczać nad wodospad tabuny ludzi z kamerami. Ale jestem panu wdzięczna za pokazanie mi tego miejsca. Dopilnuję, by ekipa nie poczyniła szkód.

- A więc zdecydowała się pani tam właśnie nakręcić film? — spytał głosem pozbawionym wyrazu.

Spojrzała zdziwiona.

- Tak, naturalnie! Wszystko już mamy, z wyjątkiem zgody właściciela. Ale o to już pan się zatroszczy, prawda?

- Nie będzie żadnego problemu.

Peter pochylił się i włączył radio. Z obojętną miną kręcił gałką, póki nie rozległa się głośna muzyka. Najwyraźniej nie chciał rozmawiać, Linda więc też już się nie odzywała. Zaczęła wyglądać przez okno, obserwując okolicę i pierwsze miejskie osiedla.

Wkrótce zjechali z autostrady i minęli tablicę z napisem „Nowy Jork”. Reflektory niezliczonych samochodów malowały błyszczące koła na asfalcie. Zrobiło się ciemno, na niebie pojawiły się gwiazdy. Przez otwarte okno wpadał swojski zapach benzyny, gorącego kurzu i słonego morskiego powietrza.

Peter skierował jeepa w zatłoczoną ulicę dzielnicy portowej i Linda rozejrzała się ciekawie. Tej części miasta zupełnie nie знаła, wszystko wyglądało tu inaczej niż na Manhattanie. Domy i okna wystawowe były ponure, a ludzie nie tak elegancko ubrani jak ci, których spotykała codziennie w drodze ze swojego mieszkania na Madison Avenue. Nowy Jork to miasto o wielu obliczach. Linda ucieszyła się, że ma okazję poznać kolejne z nich.

- Często pan tu bywa? — zapytała, przekrzykując muzykę,
- Zawsze, kiedy chcę zjeść naprawdę świeżą rybę.
- Proszę opowiedzieć mi coś o tej restauracji — poprosiła i ściszyła trochę radio.

- Jedzenie jest proste, ale dobre. Kiedyś lokal ten miał atmosferę prawdziwej tawerny, przychodzili tam głównie robotnicy. Ale stał się nagle modny, zaczęli w nim bywać tak zwani lepsi ludzie. Ci, co wiecznie, polują na nowości, które mają pomóc im pozbyć się nudy i wewnętrznej pustki.

- Zabrzmiało to gorzko, Peter.

- Tak? W każdym razie coś tam zostało jeszcze z poprzedniej atmosfery. Kiedy zniknie ona zupełnie, poszukam sobie innej restauracji, z dobrym jedzeniem i takiej, gdzie można się odprężyć.

Linda była zdziwiona, gdy zatrzymali się przed budynkiem wyglądającym jak dom towarowy — dużym i szarym, ozdobionym tylko jednym neonem.

- Czy to tutaj? — spytała niepewnie.

- Tak.

Podjechali na nie oświetlony parking. Miejsce wydało się Lindzie tak niesamowite, że nigdy nie odważyłaby się przyjść tu sama. Wokół stało pełno samochodów, rzucały czarne wypukłe cienie. Wzdrygnęła się, po chwili jednak otworzyła drzwi i wyskoczyła z jeepa. Peter nie podszedł, by podać jej rękę, dziewczyna musiała spieszyć się, chcąc dotrzymać mu kroku. Czowała, że Peter jest zły albo rozczarowany, ale nie miała pojęcia, co mogło zepsuć pogodny dotąd nastrój.

Otworzył drewniane drzwi i znaleźli się w gwarnym, wesołym tłumie. Kelnerzy, obładowani ciężkimi tacami, biegali pospiesznie tam i z powrotem. Na podłodze leżały trociny, a stoły, pokryte kraciastymi obrusami, zrobione były ze zwykłych desek. Takich krzeseł jak tu Linda nie widziała od czasów dzieciństwa. Z szafy grającej płynęły dźwięki muzyki country.

- Przepraszam — Linda musiała krzyczeć, by w panującym hałasie dało się zrozumieć choć słowo. — Pójdę do toalety.

- W porządku — odparł Peter, rozglądając się za wolnym stolikiem.

Toaleta dla pań wyłożona była jasnymi, jednobarwnymi kafelkami. Nad rzędem umywalk wisiały duże lustra. Linda stanęła przed jednym z nich i zaczęła grzebać w swoim worku, szukając szczotki oraz szminki do ust. Wiedziała, że musi się spieszyć, po tym, jak Peter dał jej do zrozumienia, co sądzi o poświęcaniu czasu na zabiegi upiększające. Przejechała szybko szczotką po potarganych włosach, żałując, że zgubiła gumkę. Zobaczyła w lustrze, że nos ma zaczerwieniony od słońca, a oczy jej błyszczą. Zrobiła, co mogła, by uporządkować nieco fryzurę i pociągnęła usta jasną szminką. Uśmiechnęła się do swego odbicia. Była szczęśliwa, że ten wieczór spędzi z Peterem i cieszyła się na dobre jedzenie.

Gdy wróciła, Peter siedział już przy czteroosobowym stoliku i studiował podniszczoną kartę. Nie zauważył Lindy, a ona znów pomyślała sobie, że ten mężczyzna o interesującej twarzy niezwykle ją pociąga.

Westchnęła głęboko, a na jej ustach pojawił się promienny uśmiech.

- Co mają tu pysznego? — spytała, siadając naprzeciwko Petera.

Popatrzył na nią nieodgadnionym wzrokiem.

- Flądry, krewetki, raki - wszystko jest dobre. Zamówili napoje. Dla Petera whisky z wodą sodową, dla Lindy piwo imbirowe. Po krótkim namyśle zdecydowała się na raki, a on poprosił o smażoną flądre.

- Bardzo mi się tutaj podoba — powiedziała przyjaźnie Linda.

Uśmiechnęła się w nadziei, że odpędzi to zły nastrój Petera. Mężczyzna prawie nic nie mówił i wydawał się nieobecny.

- Nie wolałaby pani siedzieć teraz w „Elaine” lub „Studio 54”? — spytał z lekką drwiną, wymieniając najmodniejsze w mieście lokale.

- Nie — odparła słodko. — Tu czuję się świetnie.

- Jak ktoś, kto wylądował nagle w rynsztoku?

- Peter! — zaprotestowała urażona. — Co się z panem dzieje? Znowu pana czymś rozżośliłam?

- Nie — powiedział chłodno. — Wcale nie.

Kelner przyniósł napoje. Linda wypila łyk piwa, spoglądając na Petera z uśmiechem. Odwrócił twarz, jak gdyby nie mógł znieść jej spojrzenia.

- O, proszę popatrzeć! — zawołała. — Zaczęły się tańce!

Obok szafy grającej był mały parkiet, na którym kilka par poruszało się w rytmie walca.

- Myślałam, że woli pani dyskotekę — zrzędził Peter.

- Owszem, lubię. Ale taką muzykę również. Zatańczymy?

- W tych butach?

- Dlaczego nie? A może pan nie przepada za tańcem?

Ale on podniósł się już i odsunął krzesło. Linda szybko więc wstała i podążyła za Peterem na parkiet. Z szafy płynęły teraz dźwięki starej, smutnej piosenki z lat sześćdziesiątych — o straconym uczuciu i namiętności, która wygasła.

Wyciągnął rękę, a ona znalazła się w jego objęciach. Czowała na plecach dotyk ciepłej dłoni i natychmiast zapomniała o niezgrabnych butach, jakie miała na nogach. Peter trzymał ją mocno, przyciskając do siebie, gdy tak poruszali się wolno po drewnianych deskach. Był dobrym tancerzem i miał naturalne wyczucie rytmu. Lindę ogarnęła fala szczęścia. Znowu przypomniała jej się dzisiejsza zabawa w wodzie. Zamknęła oczy i pozwoliła się prowadzić, mając wrażenie, że tonie w jego uścisku. Ręce mężczyzny objęły ją jeszcze silniej, a ona skryła twarz w jego ramionach. Czowała się błogo i bezpiecznie, a to dawało przedsmak nowych, bardziej intensywnych doznań.

Naraz uniosła głowę. W szarych oczach Petera czaił się ból.

- Peter — wyszeptła czule. — Wydaje mi się, że śnię.

- Dlaczego? Roześmiała się cicho.

- Bo tańczę tu z panem na zakończenie tego cudownego dnia. To nie może być prawda! Jeszcze niedawno uważałam pana przecież za największego obrzydliwca.

- Mnie? — spytał z żartobliwym zdziwieniem. — Całkiem zwyczajnego, nieskomplikowanego faceta?

Wybuchnęła śmiechem.

- Pan jest tak samo nieskomplikowany jak podręcznik fizyki nuklearnej. Ale nigdy bym nie myślała, że tak dobrze będę się czuła w pańskim towarzystwie, a jeszcze mniej, że...

- Że co? — spytał, gdy nagle umilkła. Przełknęła ślinę.

- Że mogę się w panu zakochać — powiedziała ledwie słyszalnym głosem.

Dłoń na jej plecach powędrowała w górę i przycisnęła znowu głowę Lindy do silnego męskiego ramienia. Palce Petera bawiły się jej włosami. Dziewczyna zastanawiała się, o czym on teraz myśli i jak zareaguje na to wyznanie.

Wiedziała, że może ją zranić, skoro odkryła się przed nim i oddała całkowicie w jego ręce. Czowała jednak, że może mu ufać i odprężyła się zupełnie w jego objęciach, chcąc nacieszyć się zażyłością, która właśnie zaczęła między nimi powstawać.

Melodia skończyła się. Wrócili do stolika. Po chwili podano zamówione potrawy. Linda zdążyła zjeść połowę swojego dania z raków, gdy nagle wśród hałasu usłyszała kobiecy głos:

- Peter! Najdroższy!

Obejrzała się i zobaczyła parę, która zmierzała właśnie w ich stronę. Kobieta była niezwykle piękna i elegancko ubrana. Miała na sobie obcisłe skórzane spodnie i dość przezroczystą jedwabną bluzkę. Jej czarne włosy błyszcząły jak heban, kontrastując efektownie z ciemnoniebieską barwą oczu. Mężczyzna u jej boku wyglądał jak wycięty z żurnala. Uśmiechał się szeroko, odsłaniając dwa rzędy idealnie równych, białych zębów.

- Peter! — zawołała znowu nieznajoma i pochyliła się, składając na jego ustach gorący pocałunek.

Linda aż pienila się z zazdrości. Z największym trudem udawało jej się zachować spokój.

- Co za niespodzianka, widzieć cię tutaj — szczebiotąła kobieta.

- Witaj, Carlotto — odpowiedział szarmancko Peter. — Dlaczego się dziwisz? W końcu to ja po raz pierwszy przyprowadziłem cię do tego lokalu.

- Zgadza się, kochanie.

Dama przypomniała sobie wreszcie o towarzyszącym jej mężczyźnie.

- Czy mogę ci przedstawić Christophera Bentona?

Ujęła młodego, szczupłego człowieka za łokieć i popchnęła w kierunku Petera, nie zaszczycając Lindy ani jednym spojrzeniem. Ta zaś gotowała się już z wściekłości.

Panowie przywitani się, a nowo przybyły zamruczał coś niewyraźnie. Naraz Linda usłyszała pytanie, które doprowadziło ją niemal do szału:

- Może przysiadzicie się do nas?

- Z przyjemnością — wdzięczyła się Carlotta. — Nieprawdaż, Christopher?

Jej towarzysz wzruszył tylko ramionami, a Linda miała wrażenie, że jest on jednym z tych ładnych chłopców, którzy pokazują się u boku eleganckich dam, służąc im głównie jako dekoracja. Nie mogła zrozumieć, dlaczego Peter zaprosił ich do stolika. Carlotta należała przecież do kategorii kobiet, o których wyrażał się dotąd gorzej niż nieprzychylnie. Linda zmusiła się do uśmiechu, czekając, aż zostanie przedstawiona.

- Nawiasem mówiąc — odezwał się nonszalancko Peter — to jest Linda Parker, moja współpracowniczka.

Poczuła się dotknięta do żywego. Czyż nie stała się dla niego kimś więcej?

Carlotta obdarzyła ją lekceważącym spojrzeniem niebieskich migdałowych oczu i — jak domyśliła się Linda — doszła do wniosku, że to dla niej żadna konkurencja. Bez zainteresowania mruknęła „cześć” i znów zajęła się Peterem.

- Gdzie się podziewałeś tyle czasu, niewierny? — dąsała się z wdziękiem, gładząc jego ramię dłonią o rubinowoczerwonych paznokciach. — Szukałam cię we wszystkich naszych ulubionych miejscach, ale na próżno. Nie opowiadaj tylko, że byłeś bardzo zajęty! Sądzę, że za dużo zajmujesz się tym swoim biznesem. Jeśli spytałbyś mnie o zdanie, powiedziałabym że potrzebujesz nieco odmiany!

- Ale nikt cię nie pyta, moja słodka — szepnął Christopher Benton, a Linda popatrzyła na niego ze zdziwieniem. Najwyraźniej była jedyną osobą, która usłyszała tę pozbawioną szacunku uwagę.

Peter milczał, ale uśmiechał się promiennie do Carlotty. Ona zaś niczym kotka ocierała się o jego ramię, pozerając wprost mężczyznę pięknymi oczami. Lindzie zrobiło się niedobrze. Po co Peter zaprosił tę osobę? Musi przecież widzieć, jaką głupią lalunię ma przed sobą!

- Czyż to nie czarujący lokal — paplała dalej Carlotta lekko schrypniętym, zmysłowym głosem, zwracając się po raz pierwszy do wszystkich. — Jest taki pierwotny i cudownie prymitywny. Uwielbiam go!

- Jadłaś już? — spytał Peter.

- Ja jeszcze nie — powiedział szybko Christopher. — Carlotta dzisiaj pości. Od wczorajszego wieczora nie wzięła do ust niczego prócz płynów.

- Ach, doprawdy? — odezwała się złośliwie Linda. — Stosuje pani głodówkę, żeby stracić na wadze, czy ze względów religijnych?

Carlotta zmierzyła ją spojrzeniem, które mówiło, że zbyt pochopnie uznała Lindę za niegroźną. Z nienaturalnym uśmieszkiem odparła:

- Raz w miesiącu robię sobie post. To dobre dla ciała i dla duszy.

- Ale pić możesz? — dopytywał się Peter.

- Oczywiście, jakże inaczej mogłabym przeżyć? Skinął więc na obsługę i zamówił butelkę szampana.

- Szampan? — Kelner z powątpiewaniem pokręcił głową. — Nie jestem pewien, czy mamy coś takiego.

- Niech pan sprawdzi. Jeśli nie, poproszę o butelkę najlepszego białego wina.

Uśmiechnął się do młodego człowieka, jakby dodając mu zachęty i kelner pospieszył na zaplecze. Carlotta spojrzała promiennie.

- Ach, Peter, kiedy ty coś weźmiesz w ręce...

- Mam nadzieję, że dostanę wreszcie kartę — powiedział Christopher niemal oskarżycielskim tonem. — Jestem okropnie głodny.

Linda zauważyła z mściwym zadowoleniem, że Carlotcie niewygodnie siedzi się w tych obcisłych spodniach na twardym, drewnianym krześle. Mimo to niebieskooka piękność ani na chwilę nie przestawała się uśmiechać.

- Wyglądasz, jakbyś spędził cały dzień za miastem — powiedziała do Petera. — Byłeś na żaglach?

Pokręcił przecząco głową.

- Nie. Nie jestem żeglarzem. A jak tam twoja praca, Carlotto?

- W sobotni wieczór nie chce mi się o tym rozmawiać.

Peter rzucił Lindzie znaczące spojrzenie.

- Carlotta kieruje bankiem przy Wall Street. Świetnie sobie radzi.

Mówiąc to, uśmiechnął się do seksownej kobiety, siedzącej tuż obok niego. Carlotta odwzajemniła uśmiech, a jej długie, czarne rzęsy zatrzepotały uwodzicielsko.

- Co porabia twoja córka?

- W porządku. Teraz jest u ojca. W orzeczeniu rozwodowym postanowiono, że będzie z nim spędzać weekendy i Wielkanoc. Przez pozostałe dni mam ją dla siebie.

Peter skinął głową. Spojrzał na Lindę, jakby przypominając: „a nie mówiłem?”.

Ona zaś patrzyła ponuro na swój talerz. Zrozumiała, że Peter chciał potwierdzić wcześniej wyrażoną opinię: zawodowa kariera kobiet nie da się pogodzić z życiem rodzinnym. Małżeństwo tej okropnej Carlotty najwyraźniej się rozpadło, ale cóż to miało wspólnego z nią, Lindą? Dlaczego Peter tak uparcie obstawał przy swojej teorii?

Odsunęła nie dojeżdżoną potrawę, marząc, by tych dwoje intruzów pożegnało się wreszcie i zostawiło ją samą z Peterem.

Zjawił się kelner z butelką białego wina.

- Przykro mi — powiedział — ale rzeczywiście nie mamy szampana.

Peter wzruszył ramionami. Kelner tymczasem otworzył wino i napełnił nim cztery kieliszki. Potem podał Christopherowi wystrzępioną kartę i odszedł.

- Postaram się, aby od przyszłego tygodnia podawano w tym lokalu szampana — oznajmił Peter.

Czy będzie tu przychodził z nią? — pomyślała z goryczą Linda, obserwując, jak Peter podnosi kieliszek i przepija do Carlotty. Jego zainteresowanie pochlebiało widocznie tej czarnowłosej żmii, bo rozplywała się cała w uśmiechach, mrugając kokieteryjnie rzęsami.

Linda była zdumiona, że Christopher kompletnie nie zwraca uwagi na ten rozgrywający się na ich oczach flirt. W końcu przyszedł tu z tą kobietą! Sama jednak udawała, że zachowanie Petera jest jej obojętne, i miała nadzieję, iż pozostali nie domyśla się prawdy.

- Najmilszy - powiedziała Carlotta i pochyliła się, by mężczyzna mógł dokładnie zobaczyć, co znajduje się pod przejrzystą bluzką — zastanawiam się, czy nie kupić sobie domu na wsi.

- Nie wyobrażam sobie — odparł — abyś mogła opuścić Nowy Jork choćby na weekend.

Zaśmiała się cicho.

- Można by tam urządzać cudowne przyjęcia. Wówczas różnica nie byłaby tak wielka. Skinął głową.

- Z pewnością nie byłaby.

Lindę zastanowiło, że ani razu nie wspomniał o swoim domu w Columbi, choć prosiło się aż, by coś o tym powiedział. Przypuszczała, że miejsce to stanowi dla niego rzeczywiście coś w rodzaju azyłu a zna je bardzo niewiele osób. Poczula przypływ radości. Jest przynajmniej jedna mała rzecz, o której Peter powiedział jej, a nie Carolocie.

Wszystkie kieliszki, z wyjątkiem należącego do Lindy, były już puste. Peter napełnił je na nowo.

- A pani nic nie pije? — zapytał. Rozzłościła się. Mówiła mu przecież, że nie lubi wina.

- Wolę to — odparła, sięgając po imbirowe piwo.

Wzruszył ramionami, nie okazując najmniejszego zainteresowania. Zły nastrój Lindy jeszcze się pogłębił.

Christopherowi przyniesiono wreszcie coś do jedzenia. Rzucił się łapczywie na gorące krewetki, nie zadając sobie wcale trudu, by uczestniczyć w rozmowie. Również Linda nie paliła się do tego, czuła się zdominowana przez gadatliwą i zarozumiałą Carlotę.

Ktoś wrzucił znów monetę do szafy grającej, wybierając tym razem dyskotekową melodię. Carlotta spojrzała tęsknie na parkiet

- Zatańczysz ze mną, Peter? — zapytała. — Mam ochotę trochę się poruszać.

- Z przyjemnością — odparł miłym tonem, nie patrząc na Lindę.

Poczula się straszliwie samotna. Co mogło aż tak odmienić Petera? Trudno uwierzyć, że ten nieuprzejmy, arogancki mężczyzna jest tym samym, z którym spędziła cudowny dzień. Ze smutkiem spuściła głowę, gdy tamtych dwoje podnosiło się od stolika.

- Czy coś pani dolega? — spytał Christopher z ustami pełnymi krewetek.

- Ach nie, jestem tylko trochę rozczarowana — powiedziała cicho.

- Domyślam się. Ale proszę nie brać tego zbyt poważnie. Ci ludzie są bezwzględni, musi się pani z tym pogodzić.

- Peter nie jest taki — zaprzeczyła natychmiast. Zaraz jednak się zawahała. - Na początku wydawał mi się okropny, ale później zmieniłam o nim zdanie. Teraz z kolei nic już nie wiem...

- Niech się pani nie zamartwia!

Poklepał ją po plecach i jadł dalej z apetytem.

Linda spojrzała w kierunku tańczących, gdzie Carlotta i Peter, objęci ramionami, kołysali się w takt wesołej muzyki.

- Panu to zupełnie nie przeszkadza? — zapytała. — Przecież przyszła z panem, a teraz widzi tylko jego.

Z trudem przełknęła ślinę.

- Dlaczego miałoby mi przeszkadzać? Jestem tu, bo mogę się za darmo najeść. Dobrze znam Carlotę i ona mnie też.

Obrzucił dziewczynę długim, współczującym spojrzeniem.

- Pani, jak widzę, ma jeszcze iluzje.

Linda wciąż patrzyła na parkiet. Ujrzała, jak jej rywalka zarzuca Peterowi ręce na szyję. Kilka sekund później przycisnęła swoje zmysłowe usta do jego twarzy. Linda wstrzymała oddech. Nie wierząc własnym oczom, spostrzegła, że Peter odwzajemnił pocałunek.

Oderwała wzrok od tej zbyt bolesnej dla siebie sceny i zmierzyła nim Christophera, który z zadowoleniem maczał ostatnią krewetkę w koktajlowym sosie. Po chwili jego uwaga skoncentrowała się na kelnerze, mającym podać drugie danie. Jeśli w ogóle zauważył zdarzenie na parkiecie, było mu ono najzupełniej obojętne.

Spojrzenie Lindy jak zahipnotyzowane pobiegło znów w kierunku Carlotty i Petera. Ale ich już tam nie było! Dziewczyna patrzyła przed siebie z osłupieniem. Wyszli razem! Nietrudno zgadnąć, po co. Nie, tego upokorzenia nie zniesie ani minuty dłużej.

- Christopher — powiedziała cicho, bliska łez. — Strasznie rozbolała mnie głowa. Czuję się okropnie.

Szybko odwrócił się w jej stronę, a potem popatrzył na prawie pusty już parkiet.

- Rozumiem. Czy mam pani zamówić taksówkę?

- Byłby pan tak miły? — szepnęła z wdzięcznością.

- Odwiózłbym panią, ale nie chcę rozzłościć Carlotty.

- Kiedy następnym razem będzie potrzebowała kogoś do towarzystwa, mogę być tak samo głodny jak dzisiaj. Skinęła głową, czując ogarniającą ją rozpacz.

- Proszę usprawiedliwić mnie przed Peterem.

- Oczywiście.

Wstał i poszedł do telefonu.

- Linda wzięła swój worek i włożyła skafander. Nie spuszczała wzroku z drzwi wejściowych w nadziei, że Peter zaraz wróci i to nagłe zniknięcie okaże się całkiem niewinne. Wiedziała jednak, że niepotrzebnie się łudzi.

Christopher był już z powrotem.

- Ma pani szczęście — oznajmił. — Taksówka już czeka.

- Dziękuję.

Łzy przesłaniały jej oczy, gdy spieszyła się do wyjścia.

- Powodzenia! — zawołał za nią, a Lindzie wydało się, że w głosie Christophera brzmi szyderstwo.

Jej głupie, romantyczne marzenia rozwiały się ostatecznie i na zawsze.

W następnych tygodniach Linda robiła wszystko, by wymazać Petera Markhama ze swojej pamięci. Nie przyjmowała jednak zaproszeń innych mężczyzn, którzy chcieli pójść z nią na kolację czy na tańce. Usprawiedliwiała się przed nimi i przed samą sobą brakiem czasu z powodu wytężonej pracy nad reklamą szamponu. Obiecywała sobie, że później wszystko to nadrobi.

Od pamiętnego wieczoru w nadmorskiej restauracji Peter nie dawał znaku życia. Wielokrotnie zastanawiała się, dlaczego tak bezwzględnie wówczas postąpił. Czasem próbowała być wyrozumiałą i wytłumaczyć jakoś jego zachowanie. Wszystkie rozmyślenia na ten temat kończyły się jednak wnioskiem, że Peter jest nikim innym jak aroganckim twardym człowiekiem, które to cechy poznała przecież już przy pierwszym z nim spotkaniu. Za każdym razem, gdy przypominała sobie, jak zakończyła się ich druga wycieczka, robiło jej się ciężko na sercu.

Carlotta w swoim eleganckim stroju, będącym ostatnim krzykiem mody, stworzyła zbyt wielki kontrast z nią, wyglądającą wówczas tak zwyczajnie i niepozornie. Siedząc obok owej pięknej damy, musiała sprawiać wrażenie nieporadnej uczennicy. Fakt, że tamta miała w dodatku wysoką pozycję zawodową, był jakby kropką nad „i”. Nie dałoby się znaleźć lepszego sposobu, by wzbudzić w Lindzie kompleks niższości i sprawić, żeby poczuła się naiwną, prowincjonalną gąską.

Niezależnie od wszystkich starań dziewczyny, wciąż działo się coś, co przypominało jej o Peterze. Pana Fitzhuga oczarowały zdolności prezesa „Wspólnych Produktów” i chwalił go bez umiaru. Kontrola nad filmowym projektem należała jednak do Jamesa Clintona. Podczas spotkań z Lindą ani razu nie wymienił nazwiska swojego szefa. Była mu za to wdzięczna.

Nawet we własnym mieszkaniu stale musiała myśleć o Peterze. Kiedy otwierała szafę, widok pionerek kazał jej wracać wspomnieniami do gorzkiego zakończenia tamtego dnia. Nie mogła, już tego znieść, wsadziła więc buty do pudła i wepchnęła je pod łóżko.

Cecylia dostrzegła przygnębienie przyjaciółki i domyślała się jego przyczyn. Raz zagadnęła ją:

- Co właściwie stało się między tobą a Peterem Markhamem wtedy, gdy wyjechałaś z nim za miasto? Od tego czasu jesteś całkiem wytraconą z równowagi.

- Nic się nie stało — odparła krótko Linda. Nie chciała nikomu mówić o swojej upokarzającej klęsce, nawet miłej, pełnej współczucia Cecylii.

- Bądź szczerą, Lindo. Widzę przecież, co się z tobą dzieje.

- Nie mam ochoty o tym rozmawiać. Z Peterem Markhamem współpracuję chwilowo, nic poza tym. Już niedługo nie będę miała z nim w ogóle do czynienia.

- I to cię martwi? — stwierdziła Cecylia ze zrozumieniem.

- Czy nie masz innych tematów?

Cecylia westchnęła i nie powiedziała nic więcej.

Mijały dni, a ból Lindy wcale się nie zmniejszał. Zadawała sobie pytanie, czy jest możliwe, by w ciągu krótkiego czasu jej uczucie do Petera stało się tak silne, że nie ma już przed nim ucieczki. Każdego dnia postanawiała na nowo zapomnieć o tym mężczyźnie, niewartym jednej jej myśli.

Czyż nie powiedział twardo, że nie chce wiązać się z żadną kobietą? A ona — też przecież oznajmiła, iż nie ma czasu na miłość i flirty. Dlaczego więc prawdziwe stwierdzenie obróciło się we własne przeciwieństwo? Po tym, jak Peter objął ją wtedy, w namiocie, powinna była wiedzieć, że ten człowiek przysporzy jej tylko rozczarowań. Powinna była odrzucić propozycję kierowania kampanią reklamową. Szkoda, że nie miała siły powiedzieć

mu „nie”, ocaliłaby własny spokój. To bezcelowe, tak się męczyć, myślała, usiłując wyrzucić te zdarzenia z pamięci i bardziej pozytywnie nastawić się do przyszłości.

Z projektem wszystko szło gładko. Zdjęcia zaplanowano na koniec lipca. Lindę przerażało, że znów zobaczy miejsce, w którym wodzono ją na pokuszenie, ale naturalnie nie miała wyboru. Ona ponosiła odpowiedzialność za to, by film się udał i musiała dołożyć wszelkich starań.

Zajęła się więc przygotowaniami i jak zwykle można było na niej polegać. Wynajęła samochód, chciała bowiem ostatnia opuścić plan, sprawdzwszy, czy teren pozostawiono w takim samym stanie, jak przed rozpoczęciem zdjęć. Przywiązywała do tego wielką wagę. Carson Fitzhugh poinformował ją, że jest już pozwolenie od właściciela. Linda nie żądała, aby je pokazał. Była zadowolona, że Peter dotrzymał słowa.

W dniu zdjęć wczesnym rankiem zjawiła się w biurze, by upewnić się, czy wszystko już gotowe. Po czym wsiadła do wynajętego samochodu i pojechała drogą, którą przebyła kiedyś z Peterem jego starym jeepem. Włączyła radio i skoncentrowała się na obserwowaniu trasy, nie pozwalając sobie na żadne smutne myśli.

Lato całkiem odmieniło krajobraz. Przy drodze kwitły polne kwiaty w innych niż wówczas kolorach. Linda miała nadzieję, że okolica wodospadu również zdążyła się zmienić w minionych tygodniach. Pozwoliłoby to jej łatwiej znieść ten widok.

Przed wyjazdem dokładnie wytłumaczyła kamerzyście, który prowadził samochód wiozący sprzęt, jak dotrzeć do tego zakątka. Sama wyruszyła nieco później, plan zdjęciowy powinien więc być już gotów. Ekipa składała się z doświadczonych i pracowitych fachowców, do których można było mieć zaufanie.

Gdy dotarła na miejsce, duży wóz dostawczy stał już na skraju lasu, a za nim trzy inne. Zaparkowała obok i poszła dalej pieszo. Usłyszała głosy swoich ludzi, zanim jeszcze mogła ich zobaczyć, i zatrzymała się przy krawędzi skały, by spojrzeć na wodospad. Okazało się to prostsze, niż myślała, bo okolica nie była już idylliczna, lecz pełna życia i gwaru. Kierowniczką zdjęć zauważyła Lindę i pomachała do niej. Odpowiedziała tym samym gestem i zeszła na dół.

- Jak idzie? — spytała.

- Do tej pory dość dobrze — odparła kierowniczką, energiczna kobieta w nieokreślonym wieku. — Wybrała pani bajeczne miejsce!

Uśmiechnęła się z uznaniem, a Lindę ucieszyła pochwała. Jeśli nawet Peter odkrył to miejsce, sam pomysł był przecież jej autorstwa. Może przegrała w miłości, ale swoje sprawy zawodowe trzymała mocno w garści.

Popatrzyła na las, gdzie roilo się dziś od różnych urządzeń. Leżały tam metry kabla — grube zwoje czarnego, izolowanego gumą drutu — i stopy taśmy filmowej. Szum generatora, zaopatrującego w prąd lampy i przewody, tłumił leśne odgłosy. Bardzo czuła, droga kamera na stojaku z dwoma miejscami do siedzenia uzupełniała dziwne wrażenie osaczenia nienaruszonej dotąd natury przez nowoczesną technikę.

Modelka, Carol Jurgens, siedziała na piasku i opalała się. Miała na sobie cielisty kostium kąpielowy bez ramiączek, który na filmie wywołać miał wrażenie nagości. Wokół kłębił się tłumek asystentów, sekretarka planu trzymała w ręku scenariusz, był też charakteryzator, by zrobić Carol delikatny, naturalny makijaż. Linda pomyślała, że mu nie zazdrości — co chwila będzie musiał zaczynać swoją pracę od nowa.

Kierowniczką zdjęć wydawała przez mikrofon polecenia, a pozostali ściśle się do nich stosowali. Wszystko szło znakomicie. Linda miała tu głównie funkcję obserwatora, jej zadaniem było strzec interesów zleceniodawcy i dopilnować, by zrealizowane zostały wysokie wymagania jej agencji.

Dwie godziny trwało rozstawienie sprzętu, wybranie właściwego kąta zdjęć, zainstalowanie lamp i kamery. Linda stała z boku, robiąc notatki i odpowiadając na pytania,

które kierowali do niej członkowie ekipy. Strona techniczna całego przedsięwzięcia była dla niej po części czymś całkiem nowym. Dopiero drugi raz miała do czynienia z kręceniem filmu w plenerze i wiedziała, że musi się jeszcze wiele nauczyć.

Gdy poczyniono wszystkie przygotowania i kierowniczką zdjęć uznała, że jest zadowolona, zarządzono przerwę na lunch. Linda przyłączyła się do grupy i wzięła sobie coś do jedzenia z zimnego bufetu, przygotowanego dzień wcześniej w Nowym Jorku. Ogarnął ją jakiś wewnętrzny niepokój, z ulgą przyjęła więc wiadomość, że za chwilę rozpoczną się zdjęcia.

Wkrótce akcja filmowa pochłonęła ją całkowicie. Linda współczuła modelce, która musiała przez długi czas stać cierpliwie w zimnej wodzie, podczas gdy charakteryzator wciąż znajdował coś do poprawienia w swym idealnym, jak się zdawało, dziele. Wreszcie Carol weszła pod wodospad, piszcząc ze strachu i zachwytu, kiedy uderzył w nią silny strumień błyszczącej kaskady. Jeden z pracowników przyniósł butelkę szamponu i Carol grała swoją rolę, a sekretarka planu czytała tekst reklamowy, który potem w studio miał zostać wyrecytowany przez kogoś innego.

Linda nie liczyła, ile razy powtarzano tę scenę. Piła jedną filiżankę czarnej kawy za drugą, aż wreszcie zawołano: „Ostatnie ujęcie!”. Westchnęła z ulgą. Niedługo zrobi się ciemno i tak więc trzeba byłoby skończyć. Carol wyglądała na bardzo zmęczoną i cała trzęsła się z zimna. Ekipa z niewiarygodną szybkością zwijala sprzęt. Wszyscy byli zadowoleni, a Linda cieszyła się już na pierwszą projekcję gotowego filmu. Z pewnością udał się wspaniale.

Teraz musiała sprawdzić, w jakim stanie pozostawiono teren. Przedtem odprowadziła jeszcze kierowniczkę zdjęć w stronę zaparkowanych samochodów. Wtem zobaczyła między sosnami płaski, luksusowy wóz, którego tu przedtem nie było. Mógł należeć tylko do Petera Markhama! Na sekundę zaparło jej dech, gdy ujrzała go we własnej osobie, stojącego obok otwartych drzwi auta.

Przyjechał więc, żeby mnie sprawdzić, pomyślała z zimną wściekłością.

Szybko pożegnała się z kierowniczką i wróciła nad wodospad. Nie chciała, by Peter wiedział, że go zauważyła.

Na miejscu pozostał już tylko jeden mężczyzna, zajęty zbieraniem śmieci. Linda zaproponowała, że go wyręczy.

Podziękował i podał jej plastikowy worek na odpadki. Kilka minut później usłyszała warkot odjeżdżających samochodów. Schyliła się, podnosząc papierowy kubek i wrzuciła go do worka. W dole, na piaszczystym brzegu, leżała jeszcze pusta tubka po pudrze w kremie i ligninowa chusteczka. Trzeba więc było przejść po prowizorycznej kładce, żeby to uprzątnąć.

Niecierpliwym ruchem zrzuciła buty i wspięła się na drewniany pień. Aby nie patrzeć w wodę, zaczęła obserwować potężne drzewa, rosnące na skraju stawu. Zauważyła, że z góry ktoś zbliża się w jej kierunku. Nie mogła jednak dokładniej się przyjrzeć, bo bała się, że straci równowagę. Kiedy stała już pewną nogą na wysepce, odwróciła się i dostrzegła Petera, który szedł jej śladem.

Najchętniej zignorowałaby jego obecność, ale nie chciała odpłacać pięknym za nadobne i okazać się człowiekiem równie źle wychowanym jak on. Uzbroiła się więc w dumę i spokojnie czekała.

- Jak widzę, nie dziwi pani, że tu jestem — stwierdził z uśmiechem.

Miał potargane włosy. Pewnie jechał całą drogę z otwartym oknem, pomyślała. Widok jego rozczochranej głowy dziwnie ją wzruszył. Poczula idiotyczne zadowolenie, że jej włosy są rozpuszczone, tak jak Peter najbardziej lubił.

- Spodziewałam się, że zechce mnie pan skontrolować — odparła chłodno. — Nie mam przecież doświadczenia w zdjęciach plenerowych.

- Nie przyjechałem na kontrolę.

- Nie?

Pochyliła się, podnosząc tubkę i zabrudzoną od szminki chusteczkę.

- Nie! Chciałem porozmawiać i to miejsce wydało mi się najlepsze. Wiedziałem, że pani tu będzie.

- Mogę zapewnić, że wszystko świetnie się udało. Rezultat, jak sądzę, zadowoli pana. Nikt nie szczędził wysiłku...

Głos Lindy był nieco zdyszany, gdy opisywała przebieg dnia zdjęciowego. Peter słuchał cierpliwie, nie przerywając.

- Aha, chciałam jeszcze — powiedziała na końcu — podziękować za załatwienie zgody właściciela. Pan Fitzhugh mówił mi, że ją otrzymał.

- To nie był żaden problem — wyjaśnił Peter. - Teren należy do mnie.

- Do pana? — wykrzyknęła w wielkim zdziwieniu.

Po chwili dodała:

- Właściwie nie powinnam być zaskoczona, najwyżej tym, że udostępnił nam pan swoją kosztowną posiadłość.

- Normalnie bym tego nie zrobił. Na pewno mi nie uwierzysz, Lindo, ale chciałem ci pomóc.

Nagle porzucił oficjalną formę „pani”.

- Pomóc? Mnie? — powtórzyła z sarkazmem. — Kładąc mi pod nogi wszelkie możliwe przeszkody? Dlaczego zresztą miałby mi pan pomagać?

Nie zamierzała dostosować się do jego poufałego sposobu zwracania się. Za wszelką cenę starała się zachować zimny dystans.

- Dobre pytanie — stwierdził wesoło. — Wielokrotnie sam je sobie zadawałem.

Popatrzyła na niego nic nie mówiąc i odeszła, by dalej porządkować teren. Kłębiły się w niej sprzeczne uczucia. Pragnęła uwierzyć Peterowi, pamiętała jednak, że już tyle razy ją rozczarował. Była jak poparzone dziecko, które boi się ognia.

Peter podążył za nią, a kiedy się odwróciła, miała tuż przed sobą jego szare oczy, które wprawiły ją w takie odurzenie.

- No? — zapytała szorstko. - Ma mi pan jeszcze coś do powiedzenia?

- Tak. Czy moglibyśmy usiąść i porozmawiać?

- Nie, Peter — odparła spokojnym, zdecydowanym głosem. — Nie ma już niczego, o czym musielibyśmy rozmawiać.

- Chciałbym wyjaśnić moje zachowanie wtedy, w restauracji.

- Nie jest mi pan winien żadnych wyjaśnień. Serce Lindy waliło jak oszalałe. Czują, jak na szyję wypełza jej ciemny rumieniec. Jeśli nie będzie bardzo uważać, w końcu znów da się Peterowi omotać!

- Wiem — usłyszała. — Ale mimo to chcę się wytłumaczyć. Posłuchasz mnie przez chwilę?

Mijały sekundy, a ona się zastanawiała. Po czym westchnęła i bez słowa skinęła głową. Wziął ją za rękę i poprowadził w stronę zwałonego pnia. Usiadł i pociągnął dziewczynę za sobą. Przesunęła się nieco dalej. Wiedziała, jak niebezpiecznie jest znajdować się zbyt blisko niego. Nie chciała znów wpaść w pułapkę.

Obserwował ją ze smutnym uśmiechem.

- To, co mam do powiedzenia, zaczyna się od nocy w Appalachach.

- Proszę — powiedziała błagalnie — niech mi pan o niej nie przypomina.

- Wiem, że było to dla ciebie ciężkim przeżyciem, a ja wcale nie ułatwiałem ci sytuacji. Zdążyłem już zaliczyć cię do kategorii damulek, jakie znałem aż nazbyt dobrze. Zachowywałaś się dość głupio, a ja — przyznaję — potraktowałem cię bardzo nieprzyjemnie. Miałaś jednak w sobie jakąś wrażliwość, nie pasującą do mojej opinii.

- Jakiej opinii? — spytała z ciekawością.

- Że jesteś zimną, wyrachowaną karierowiczką, która zdobywa szturmem Nowy Jork i za wszelką cenę chce zostać sławna. Nigdy nie lubiłem tego rodzaju kobiet. Ale ty pociągałaś mnie tak, że nie potrafiłem się oprzeć. Zamierzałem więc ulec namiętności, lecz ty nie chciałaś! To rozdrażniło mnie jeszcze bardziej i byłem przekonany, że w końcu cię dostanę.

- Tak? — krzyknęła z oburzeniem Linda. — Widzę, że przywykł pan mieć każdą kobietę, jakiej tylko zapagnie!

- Tak — odparł szczerze. — Ale nie potrzebowałem wiele czasu, by zorientować się, że ty jesteś inna, że kierujesz się wartościami, które są dla ciebie nienaruszalne. Coś takiego rzadko się dziś spotyka.

Spuściła głowę. Nie mógł wiedzieć, jak bliska już była tego, by zawiesić swoje zasady na kołku. Trzymała się ich, to prawda — do czasu, nim nie poznała Petera. Spotkanie z nim wstrząsnęło wszystkim, co uważała dotąd za pewne.

- Od tej pory — mówił dalej — nie miałem spokoju. Ciągle musiałem o tobie myśleć. Obaliłaś całą moją teorię na temat kobiet, którą zbudowałem sobie na podstawie dotychczasowych doświadczeń. A dzień spędzony z tobą w tym miejscu zmienił wszystko.

Linda czuła coraz szybsze bicie serca. Zdawała sobie sprawę, że takie wyznanie nie przyszło mężczyźnie łatwo.

- Peter... — zaczęła.

- Poczekaj. Pozwól mi skończyć. Tego dnia zrozumiałem, że jesteś mądrą, wrażliwą i niezwykle pociągającą kobietą. Usidliłaś mnie jak nikt od wielu lat. Krótko mówiąc: zaczynałem cię kochać i to mnie przerażało.

- Ale dlaczego — zawołała z całą tłumioną od tygodni rozpaczą — dlaczego zaraz potem wdał się pan w tę historię z Carlottą?

- Nie rozumiesz? Usiłowałem za wszelką cenę przekonać sam siebie, że to tylko chwilowe zadurzenie i że potrafię zrzucić więzy, które mi nałożyłaś. Przez całe życie prześladował mnie obraz nieudanego małżeństwa moich rodziców i daremnych prób matki, usiłującej zbudować nowy, lepszy związek. Wszystko, co znałem dotąd, dowodziło, że niemożliwe jest, by dwoje ludzi żyło ze sobą w miłości, zwłaszcza w naszym swobodnym obyczajowo społeczeństwie. Robiłem więc wszystko, by ocalić własną wolność i nie rujnować sobie życia przez małżeństwo, które później okazałoby się pomyłką.

- A twoja miłość do przyrody była pewnie czymś w rodzaju ucieczki od blichtru świata, jego intryg, w pewnym sensie również od kobiet zastawiających na ciebie sidła?

Zaczęła mówić mu „ty”, ale nawet tego nie zauważyła.

- Właśnie tak! Tu, poza miastem czuję się jak wolny człowiek — bez zobowiązań towarzyskich i konieczności wysłuchiwanie czyjejś czezej paplaniny.

Ujął ręce Lindy i delikatnie je ucałował. Jak zawsze poczuła napięcie elektryczne między swoim a jego ciałem.

Popatrzył na nią.

- Ten wieczór z Carlottą był próbą uwolnienia się od ciebie. Chciałem sobie udowodnić, że wciąż jestem wolny. Wypierałem się własnych uczuć, by nie zaakceptować faktu, że tym razem chodzi o prawdziwą miłość. Carlotta to przykład bezdusznej lalki — twoje dokładne przeciwieństwo.

- Wiedziałam, że ona nie może dla ciebie nic znaczyć — szepnęła Linda. — Dlatego tak strasznie mnie to zabolalo.

- Przykro mi, że cię zraniłem. Kiedy dowiedziałem się, że już wyszłaś, pomyślałem sobie: „I bardzo dobrze. To już koniec”. Wierzyłem, że uda mi się wyrzucić cię z moich myśli i żyć dalej tak, jak mi się podoba. Ale nie mogłem! Nie byłem w stanie o tobie zapomnieć. Dlatego dzisiaj tu przyjechałem. Musiałem znów cię zobaczyć! Wcale nie miałem zamiaru opowiadać ci tego wszystkiego, wiem, że jest już za późno. Chciałem cię tylko przeprosić za

moje zachowanie w restauracji i powiedzieć, że dostaniesz wszystkie zlecenia „Wspólnych Produktów”, jeśli tylko będziesz chciała.

Nie patrzył już na nią. Spoglądał smutno na swój ukochany las. Serce Lindy przepełniała miłość. Dziewczyna dobrze wiedziała, że widok przyrody nie uwolni Petera od bólu. Mogła to zrobić tylko ona.

- Peter — powiedziała cichym, pełnym czułości głosem. — Moja praca nie wydaje mi się już aż tak ważna. Teraz liczysz się dla mnie ty!

Odwrócił głowę. W jego szarych oczach pojawiła się nadzieja.

- Lindo!

Porwał ją w ramiona i przycisnął do siebie.

- Kocham cię — wyszeptała, zbliżając twarz do jego ust. — Kocham cię od dawna, ale broniłam się przed tym uczuciem.

Nagle Peter przerwał czuły uścisk. Podniósł się, pomógł wstać Lindzie i znów ją objął.

- Kocham cię — zamruczał z twarzą w jej włosach. — I nie mogę dłużej czekać. Pobierzmy się, nawet jutro, jeśli się uda. Nie chcę już żyć z dala od ciebie. Powiedz, że wyjdiesz na mnie, Lindo!

- Tak — odpowiedziała, nieprzytomna ze szczęścia. — Zostanę twoją żoną.

**KONIEC**